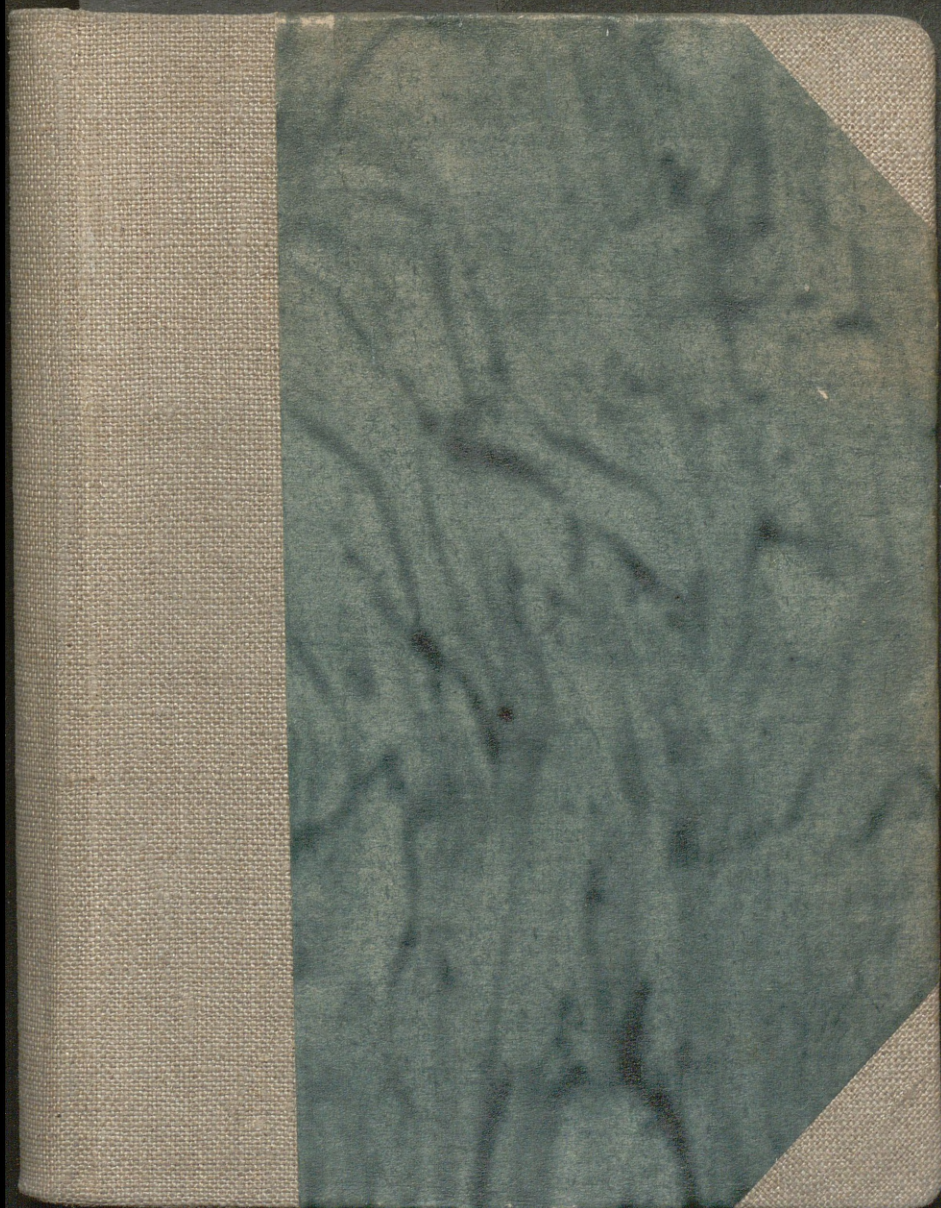
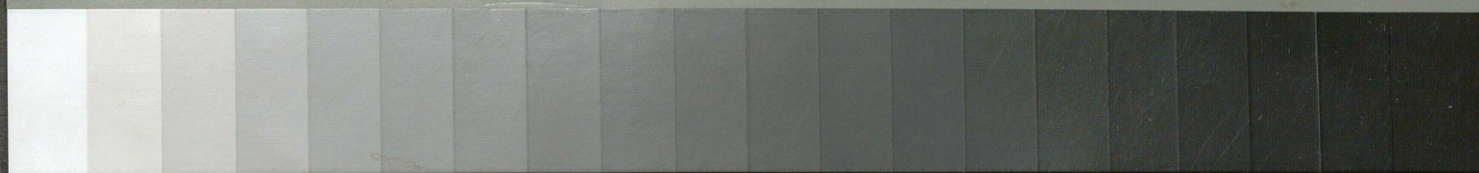


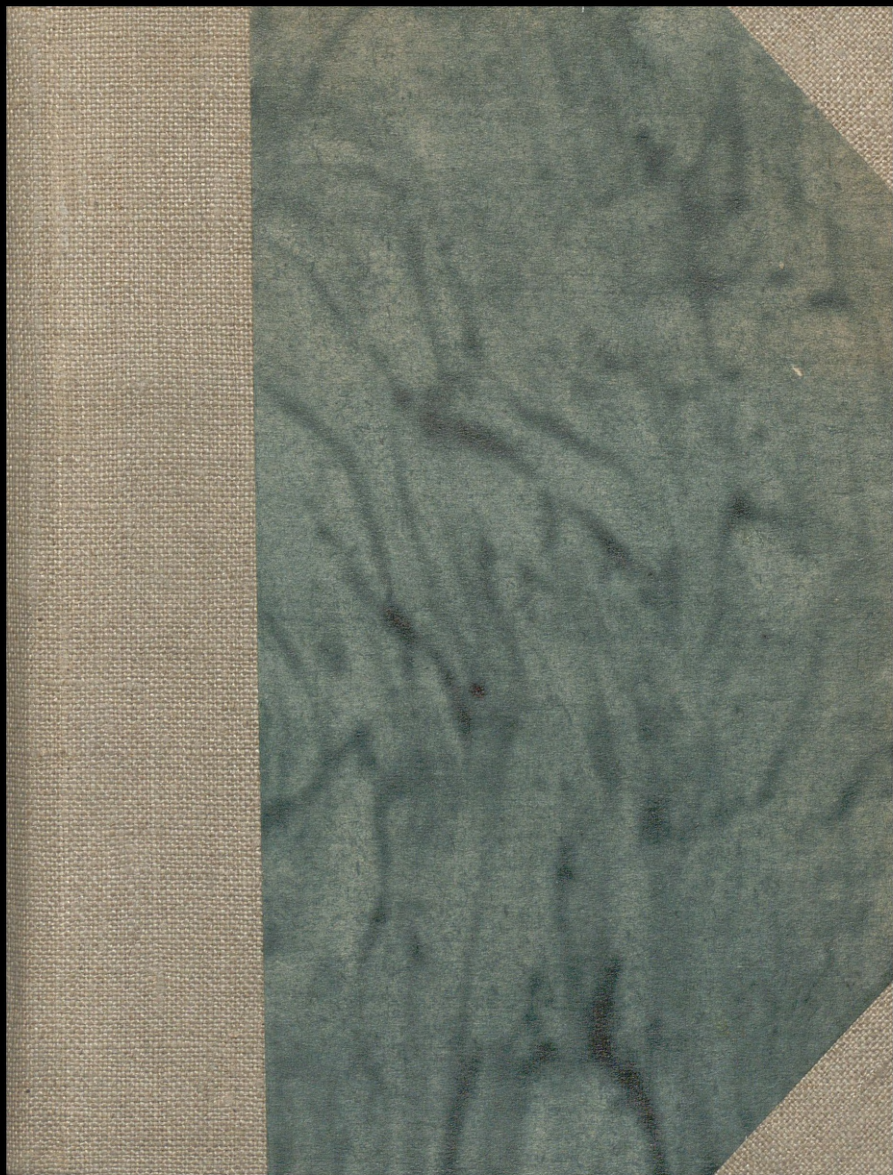
Grey Scale #13



DANES
PICTA
.COM

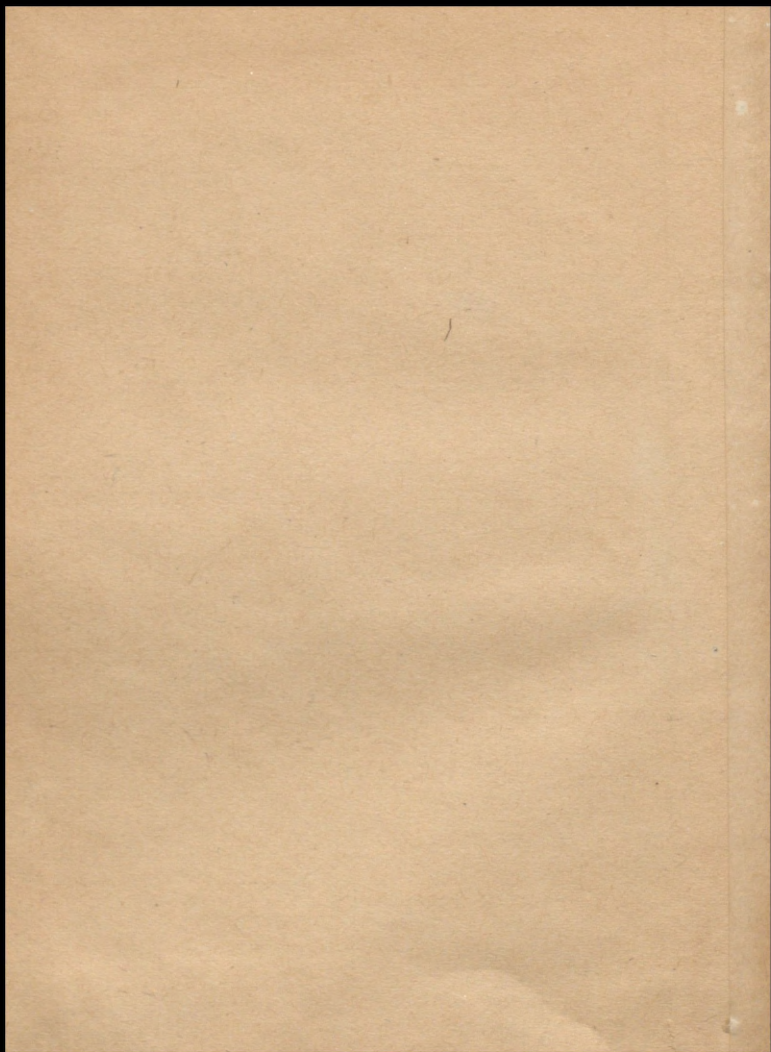
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



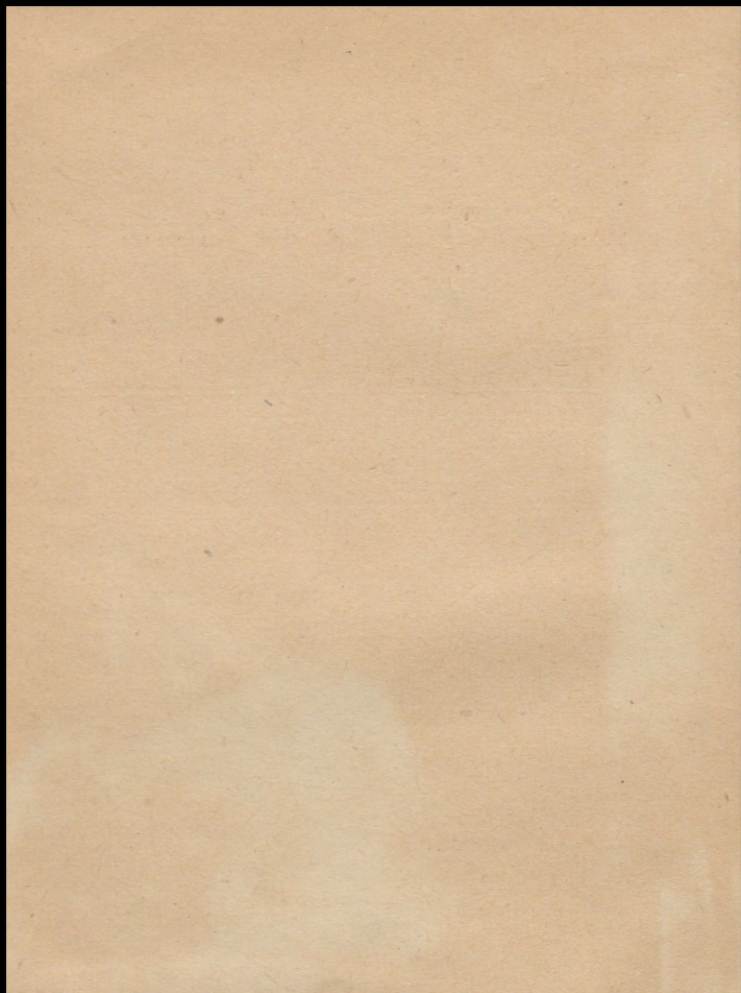


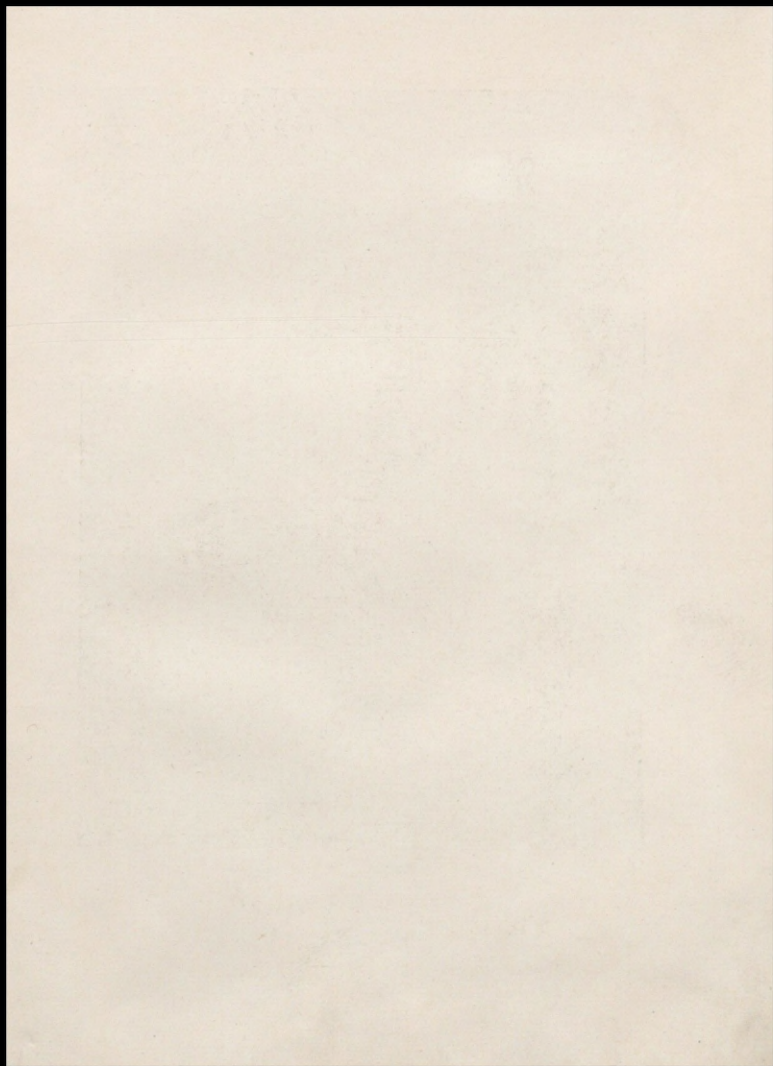
335
13-8

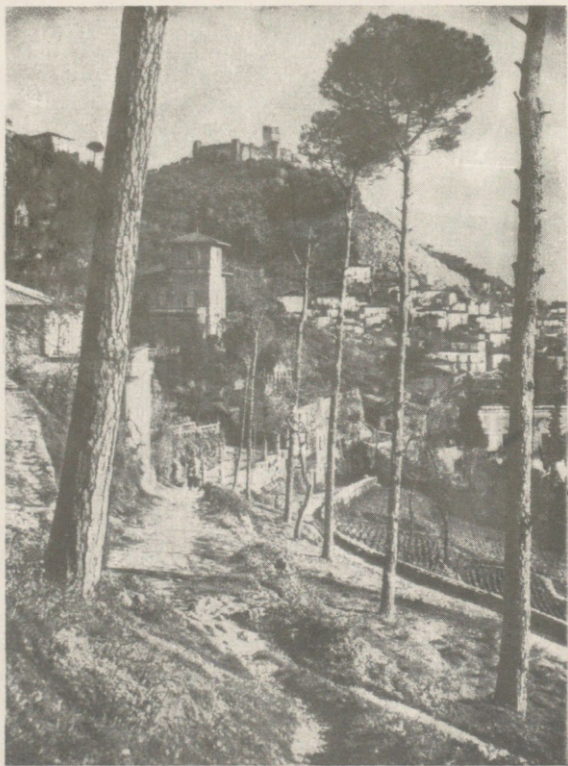
ZNAK WŁASNOŚCI:



Od San Domingo do Cassino







MONTE CASSINO

fotografia sprzed bitwy

ANTONI TREPIŃSKI

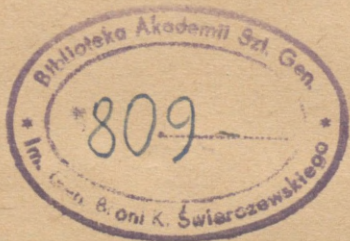
*Od San Domingo
do Cassino*

XXXVII. 4. 3.

TADEUSZ WILCZYŃSKI, KRAKÓW
KSIĘGARNIA UL. SW. TOMASZA 25

1 9 4 7

OZDOBIŁ ZYGMUNT LOREC



Drukarnia pod Zarządem Państwowym w Przemyśle, plac Czackiego 10
S 13779

SŁOWO WSTĘPNE Z OKAZJI ZWYCIĘSTWA POLAKÓW



ątpliwe, czy jest wśród ludzkości krew cenniejsza od polskiej krwi. Dlatego, że jako Polacy cenimy bezprzykładnie cel przelewu krwi naszego narodu i ponieważ nie szczędziło jej żadne pokolenie od rozbiorów państwa, tak iż materialnie nie stać nas na jedną kroplę krwi daremnej. Możemy ledwie jeszcze świadczyć symbolicznie, ale mocno i zdecydowanie, fanatyczne umiłowanie ideału wolności w walce o ostateczne zwycięstwo sprzymierzonych.

Nie stać nas na żadną bitwę, na żadną potyczkę bez pewności zwycięstwa. Nie możemy myśleć o spotkaniu z nieprzyjacielem

dla samego odważnego stawienia mu czoła i zmierzenia sił; musimy obliczać siły jego trafnie z góry, żeby rozgromić je nawet w razie wysokiego oszacowania.

Niechaj dowie się cały świat, bohaterowie spod Monte Cassino, Piedimonte i Monte Cairo, jak drogie nam są ideały ludzkości: wolność naszego narodu i wolność wszystkich narodów. Niech dowie się o tym z nowego zwycięskiego czynu dzielnych wojowników polskich, z przelewu bezcennej krwi, uszczuplonej strasznie w źródłu płynącym nieprzerwanie od wielu lat, poprzez setki pobojozisk we wszystkich częściach globu ziemskiego, na różnych geograficznych szerokościach, nie wyłączając stref podbiegunowych i równikowych, a nawet uwypuklając je tutaj w szczególności: tajgi syberyjskie, katorgi, kopalnie... zesłania w epoce rozbiorów Polski, po powstaniach i walkach z caratem... Słyszeliście co kiedy o tym, panie dobrodzieju... mylordzie?

Niech dowie się jeszcze raz cały świat o naszym ideowym poświęceniu, choć dobra sława

jest śmiesznie przemijająca i kończy się najczęściej na błyskotliwości chwili, nie zostawiając trwałych skutków w życiu, ani niezawodnych śladów w ludzkiej pamięci. Wiele czynników przyczynia się z upływem czasu do zacierania faktów w historii, nawet wówczas gdy mamy do czynienia z decydującymi bitwami świata, jak np. bitwą pod Grunwaldem 1410 r., bitwą pod Wiedniem 1683 r., albo bitwą pod Lipskiem 1815 r. Wystarczą w pamięci inteligentnego cudzoziemca dźwięczne nazwy Maratonu lub Trafalgaru, jako że dziś już nikomu nie przeszkadzają, choć może związane z nimi daty nie były wcale bardziej ważne i decydujące o losach kontynentu od tamtych (na serio!).

Kiedy więc znów podnosimy śmielej czoła i z słuszną dumą, w podniosłym skupieniu, pragniemy złożyć hołd nieustraszonym bohaterom zmagających o Rzym, przychodzą na pamięć inne zwycięsko stoczone walki Polaków w górach, epizody z kampanii napoleońskiej — na wyspie Haiti i półwyspie Iberyjskim (pan naturalnie nic o nich nie

słyszał, mylordzie, ale niech pan zajrzy do Encyklopedii Britannica lub do wielkiego Larousse'a. Ponieważ znajdzie pan tam skąpe wiadomości, przeto dopowiem to i owo najważniejsze, oczywiście nie przyrównywając »polskich« epizodzików górskich ani na chwilę do ogólnie gloryfikowanych bitew, które urobiły wyraźniej oblicze świata.

Ze stanowiska wieczności i historii powszechnej ludzkości chodzi o drobiazg — zaledwie o dobre imię jednego nieszczęśliwego narodu i co najwyżej o kilkanaście tysięcy trupów.



CASSINO PRZYPOMINA SAN DOMINGO



roku 1802 Napoleon, podpisawszy po jednej z rozlicznych awantur wojennych zawieszenie broni z Austriakami, przeznaczył korpus polski, utworzony z rozwiązanych

szeregów legionowych, na wyspę Haiti, zwaną we wschodniej części San Domingo. Całkowite zawojowanie wyspy mogło zapewnić nadzwyczajne korzyści w zakresie żeglugi i handlu, o co też wypadło walczyć Polakom, posłanym tam »za karę«.

Bonaparte postanowił doraźnie pozbyć się b. legionistów jako znanych zwolenników ustroju republikańskiego, niepożądanych w chwili zamierzonej koronacji cesarskiej, jako też

z uwagi na widoki szacherek politycznych z monarchą austriackim, który uważał Polaków z Lodomerii i Galicji niewzruszenie za swoich poddanych. Sprawa polska mogła sparaliżować nowe kombinacje, uniemożliwić małżeństwo z cesarzówną austriacką. Przedtem posłano na drugą półkulę, również w trybie postępowania dyscyplinarnego, oficerów francuskich, sprzyjających generałowi Moreau, czym zmniejszono wpływy poważnego przeciwnika — a zwiększono szanse wywyższenia się pierwszego konsula.

Odczytano poszczególnym oddziałom polskim takie rozkazy:

»Pierwszy konsul, nagradzając zasługi i czyny waleczne II półbrygady włoskiej, wciela ją do wielkiego wojska francuskiego, nadając jej Nr 114 półbrygady liniowej francuskiej, a chcąc ją do dalszych podobnych czynów zachęcić, przeznaczają ją do San Domingo, gdzie zawsze najbardziej odznaczające się pułki francuskie za nagrodę wysyłane bywały. Skoro tylko 114-ta półbrygada stanie na miejscu przeznaczenia, oficerowie i żołnierze zostaną naturalizowani synami Francji, z używalnością wszelkich praw i przywilejów obywateli francuskich«.

Pierwsza w czerwcu 1802 r. pojechała 113-ta półbrgada piechoty. Gdy wsiadała na okręty w porcie Liworno, oddziały francuskie stanęły przy nich pod bronią, z rozkazem użycia gwałtu w razie oporu ze strony Polaków.

»Ta nadzwyczajna ostrożność niepotrzebna się okazała — zauważa pamiętnikarz, uczestnik wyprawy. — Polacy bowiem chociaż z rozpaczą w sercu, szalupami dostawieni do okrętów, na pokładach złożyli w milczeniu i bez szemrania broń i mundury«.

Podobna scena rozegrała się w grudniu 1808 r. w porcie Parma. Po odczytaniu rozkazu, doręczzonego przez adiutanta naczelnego wodza,

»wszyscy wykrzyknęli: Niech żyje pierwszy konsul!«
Półbrgada udała się po raz ostatni do koszar.

»Gdy pierwszy szal przemiął, a zimna nastąpiła rozwaga, omamienie znikło i naga rzeczywistość przed oczami stanęła. Już wiadomy był los, jaki spotkał 113-tą półbrgadę na wyspie San Domingo, nie tajne więc było każdemu co go czeka. Powiedzieliśmy już wyżej, że Napoleon Bonaparte wszystkich, którzy mu byli na zawadzie w dopięciu jego zamiarów, lub którym nie ufał, oddał z Francji, a najczęściej wysyłał do San Domingo. Pomędzy tymi znajdował się generał Władysław Jabłonow-

ski. Pelen zdolności, wielkich nadziei, mianowany został dowódcą legii naddunajskiej. Znał go dobrze Bonaparte, z nim bowiem razem w szkole wojskowej w Brienne nauki pobierał, i dlatego może wysłał go poza morza. Jabłonowski zginął w San Domingo, w wyprawie przeciwko miastu St. Marc«.

Ba! niezawsze z bliskiej znajomości z pierwszymi konsulami wynikają jeno chwalebne zaszczyty!...

Nazajutrz

»skoro 114-ta półbrygada wyszła za miasto, przyłączył się do niej pułk strzelców konnych francuskich, z 400 ludzi złożony, który, podzieliwszy się na przednią i tylną straż, dostał rozkaz eskortowania Polaków. Ten postępek dotknął wszystkich do żywego, był bowiem oznaką niedowierzania, na które nie zasługiwali bynajmniej ci, którzy tyle dowodów wierności i poświęcenia ciągle dawali Francuzom«.

»Tysiące ludu, okrywając nadbrzeża przystani, świadkami były, z jaką uległością, z jakim porządkiem, poświęceniem się, bez najmniejszego szemrania, Polacy opuszczali ziemię, którą mała ich tylko liczba jeszcze oglądać miała«.

A teraz posłuchajcie łaskawie innego pikantnego szczegółu:

»Podinspektor Soulié, zrobiwszy przegląd, zamknął rachunki i oświadczył oficerom, że od tej

CASSINO PRZYPOMINA SAN DOMINGO

chwili 113-ta półbrygada spod zarządu ministra wojny wychodzi i odtąd od ministra marynarki za-
leżeć będzie. Oświadczył dalej, iż 4-miesięczny
żołd zaległy z funduszków wojska lądowego zapła-
cony im zostanie, z kasy zaś ministerstwa mary-
narki odbiorą żołd 3-miesięczny z góry na drogę».

Otóż pomiędzy papierami dowódcy for-
macji polskiej, pułkownika Bernarda, zmar-
łego na wyspie na żółtą febrę, znaleziono
później list generała Murata do podinspektora
Soulié,

»naganiający surowo postępek jego z oficerami pol-
skimi, których obznajomił z prawem francuskim,
dotyczącym wypłaty należności wojsku, na morską
wyprawę przeznaczonemu«.

Król neapolitański, szwagier Napoleona, do-
dawał, że polecił płatniczemu wypłacić pół-
brygadzie 113-tej tytułem zaliczki tylko dwu-
miesięczny żołd na podróż, przede wszystkim
jednak zarządził środki ostrożności, na wy-
padek gdyby Polacy nie chcieli wsiadać na
okręty.

Ten drastyczny list miał swoją historię.
Polacy, znalazłszy go w kieszeni swojego
szefa — niedyskrecja, nieprawdaż? — zresztą
bardzo kiepskiego dowódcy, pokazali go ge-

nerałowi Rochambeau, głównemu dowódcy na San Domingo. Ów dopiero

»do żywego wzruszony tak czarnym postępkim, kazał obrachować zaległość żołdu i takową z kasy wojskowej Polakom zapłacić«.

Nic dziwnego, że pułkownik Bernard

»nie umiał pozyskać sobie miłości i zaufania swoich podkomendnych. Nie znając polskiego języka, chciał nazwiska po francusku przeistaczać«.

Zachęcony do nadużyć,

»przeznaczone 6 łutów tytoniu dziennie na każdego żołnierza wydawać zakazał, a sam tytoń odrazu w Kadyksie na swoje konto sprzedał«.

Czy posądzi kto przypadkiem Polaków, że dla pieniędzy wyprawili się na San Domingo? Niestety, taka myśl wylęgła się w prostackiej mózgownicy generała Murata, dokładającego z lekkim sercem starań, aby grób wykopany Polakom na przekłętej wyspie był jak najędzniejszy. Lecz skoro »czarny postępek« poruszył serce nawet tak ciemnego indywiduum, jak osławionego generała Rochambeau, wystarczy mieć miarę dokonanej obrazy i niesprawiedliwości.

Generał dywizji Rochambeau, w świetle pamiętników uczestników wyprawy, był

»największym łotrem z pomiędzy Francuzów. Kazał w nocy wsadzić na statki murzynów starych i małe dzieci, odpłynąć od wyspy na morze o parę mil drogi i w morzu potopić. Trupy, których ryby nie pojadły, powyrzucały bałwany morskie na ląd San Domingo. Pospólstwo czarnych, spostrzegłszy owe trupy, rozjątrzone na białych, zaczęło białych nawzajem wyrzynać i żywcem palić. Z tego wywiązała się wojna barbarzyńska«.

Pomimo opinii swego rodzzonego ojca, przesłanej do rąk własnych Napoleona Bonapartego,

»iż kto był złym synem, złym mężem, złym ojcem, nie może być zdolnym, aby mu powierzono tak ważne dla Francji dowództwo, gdyż bez cnót domowych, cnót publicznych posiadać nie można«, generał Rochambeau mianowany został kapitanem generalnym wyspy Haiti.

»Skoro objął dowództwo, sprowadził z wyspy Kuby gromady psów, wprawionych do wytropienia zbiegłych murzynów. Psy te, większe od naszych kundlów, węchem wytropiwszy uciekającego, zmuszały go do zatrzymania się w ucieczce, a w razie oporu żywcem go pożerały. Gdy psy rzeczzone już do Port-au-Prince przybyły, użyto ich na próbę do rozszarpania Murzyna wydobytego z więzienia. Potrzeba tu nadmienić, iż w owej epoce liczba uwięzionych bardzo była znaczna; więziono bo-

wiem tych, na których padało podejrzenie należenia do buntu, sami zaś mieszkańcy miasta (biali) dla osobistego bezpieczeństwa, własnych niewolników pod straż miejscowej władzy oddawali. Wybrano pomiędzy więźniami najsilniejszego Murzyna, sprowadzono go do rządowego pałacu, wysoki murem obwiedzionego, poczem w przytomności generała Rochambeau, otoczonego licznym sztabem, puszczono psy, które na komendę biedną ofiarę rozszarpały na miejscu«.

Po tak nieludzkiej próbie generał Rochambeau, wzięwszy psy z sobą, rozkazał użyć ich przy odbieraniu pewnego ważnego punktu strategicznego z rąk Murzynów.

»Znali Murzyni całą ważność tego punktu, mężnie zatem stawiający się Francuzom, odparli ich ze znaczną stratą«.

Natarcie jednak nie odpowiadało zamierzeniu.

»Dobosz francuski ranny na placu bitwy pozostał; gdy psy jego krew poczuły, z taką zażartością rzuciły się na niego, iż pomimo prędkiego ratunku, obronić go nie zdołano. Odtąd już więcej psów nie używano do wojny«.

Przyczyna ograniczenia usług wściekłych psów na polach bitew wyglądała wówczas podobnie jak w dzisiejszej wojnie... powściągliwość w stosowaniu gazów bojowych. Bar-

barzyńskie sposoby walk mszczą się na inicjatorach, nie dostrzegających w szale zawziętości, że maczuga ma zwyczajnie dwa końce.

Murzyni, służący częściowo w szeregach francuskich, od czasów przedrewolucyjnych, gdy 1/3 część wyspy należała do Francuzów, nie dawali się zmuszać do walk bratobójczych, ale przechodzili solidarnie wraz z dowódcami na stronę powstańców. W kilka dni po przybyciu pierwszego transportu Polaków na Haiti, postąpiła tak cała dywizja Murzynów, rozmieszczona wśród gór. Nie zdążył jednak batalion jeden, złożony z 40 Murzynów, udać się w ciągu nocy w pochód za swoim generałem, którego zdradę spostrzeżono dopiero nad ranem.

»Niepodobna było batalionowi polskiemu utrzymać w karności kilkuset murzynów; dowódca oddziału polskiego, generał Fressinet, postanowił więc wytępić Murzynów aż do ostatniego. Rozkazano Murzynom wystąpić do apelu, bez broni; gdy na placu stanęli, batalion Bolesty z bronią w ręku otoczył ich niespodzianie i co do jednego bagnietami wykłuł. Po tak morderczym postępku, batalion wsiadł na okręt i popłynął w inną stronę wyspy«.

Trudno nie zwrócić uwagi, że Francuzi darzyli Murzynów głębszym zaufaniem niż Polaków, tubylcy bowiem posiadali swoich własnych przewodników aż do dowództwa dywizji włącznie, natomiast Polacy znajdowali się pod komendą francuską. Nie zawiedli się zresztą Francuzi na zaufaniu do Murzynów, dopóki ich wzajemności w poważnym stopniu sami nie podkopali. Nastąpiło to po zawarciu pozornego pokoju, kiedy zaprosili na ucztę przywódcę czarnych, Toussaint Louverture, uwielbianego, wybitnego i szlachetnego człowieka, podstępnie aresztowali, wywieźli do Francji i w więzieniu otruli.

»Prócz Murzynów, na wyspie mieszkała wielka liczba zamożnych Mulatów, bardziej Francuzom niż Murzynom sprzyjających. Generał d'Arbois, szukając niecznymi sposobami łatwego wzbogacenia się, pod pozorem jakoby Mulaci nie sprzyjali rządowi francuskiemu, bez litości ich obdzierał. Więzienia napelnione były niewinnymi; póki kto co miał do ostatka oddawać musiał, a skoro już nic nie miał do dania, z rozkazu generała zaprowadzony na okręt, niby w celu przetransportowania do Cap-Français, na pokładzie zamordowany, do morza wrzucony został. W tymże samym czasie generał

d'Arbois przybyłego z Cap-Français do Jérémie bogatego Mulata, nazwiskiem Bardet, tymże samym sposobem uwięzić, ze wszystkim go złupić, a potem jako podejrzanego utopić rozkazał».

Francuzi rządili na wyspie nieprzymierzając jak Niemcy w ramach współczesnego »nowego ładu europejskiego«. Kto siał wiatr, ten zbierał burzę.

»Przebrała się na koniec miara, a okrutne postępowanie francuskiego dowódcy stało się hasłem do ogólnego powstania Mulatów. Powstania ze wszystkich trzech departamentów połączyły się z sobą, znikła nadzieja przywrócenia spokojności na wyspie San Domingo, a na nieszczęście zabrakło nawet Francuzom potrzebnych środków utrzymania się w obronnym stanie«.

I już w czasie dogorywającego panowania Francji na wyspie, kiedy z licznej niegdyś armii pozostały tylko gdzieniegdzie słabe szczątki, przybyła większość byłych legionistów polskich.

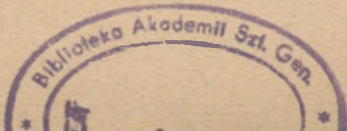
Ledwie ujrzeni okropne góry, już w nich znaleźli swoje groby.

Jakże strasznie zaszydził bóg wojny z świętego hasła polskiego: »Za wolność naszą i waszą!«

»Z początku Murzyni obchodzili się jak najokrutniej z jeńcami polskimi. Porucznika Madejskiego uziawszy w niewolę, wsadzili pomiędzy dwie deski i wzdłuż przepiłowali. Podobne pastwienie się nad nani pochodziło stąd, iż Francuzi ciągle Polakami straszili Murzynów, nazywając nas potworami karmiącymi się jedynie mięsem ludzkim«. »Żywcem do drzewa przywiązywali, uszy, nosy obrzynali, a potem ogień podkładali pod drzewem i naszych piekli«.

»Śmiertelność co dzień po kilkadziesiąt ludzi sprzątała z tego świata. Z batalionu drugiego, który do tysiąca liczył, w krótkim czasie zaledwie 100 ludzi zostało. Tam pochowaliśmy szefa batalionu Bolestę oraz kapitana Osękowskiego i Rębowskiego, kapitana grenadierów. Podobny los, jaki spotkał pierwsze dwa bataliony, spotkać miał i trzeci batalion naszej 113-tej półbrygady. Często staczając utarczki z czarnymi, póty się trzymał, póki choroby szeregów walecznych przerzedzać nie zaczęły, wtedy utracił przeszło 600 ludzi. Tym sposobem w przeciągu niespełna pół roku, nie orężem, lecz śmiertelną zarazą zwyciężeni, z 3.700 ludzi, których 113-ta półbrygada liczyła pod bronią przy wylądowaniu na wyspę San Domingo, zaledwie trzystu doliczyć się mogła, a ze stu kilkadziesięciu oficerów, w czynnej służbie będących lub nadkomplementnych, zaledwie trzecia część przy życiu pozostała«.

»Choroba w San Domingo była tego rodzaju, że



jeżeli kto po zapadnięciu w chorobę w dwie godziny nie miał doktora, umierać musiał».

»Nie było dnia, ażeby nawet ze stanowisk strażniczych nie wywożono trupów — bardzo często znajdowano dwugodzinnych sztyldwachów zmarłych przy ich złuzowaniu; toż samo się działo przy szopach, nam na koszary przeznaczonych».

»Anglicy okrętami swoimi oblokowali wszystkie porty i przecięli całkiem komunikację wodną, a lądowej już dawno dla przemagającej siły Murzynów nie było. W tak ścisłym zamknięciu zaczęło wszędzie brakować żywności, gdyż magazynów zapasowych nigdzie nie było skutkiem złego powietrza, które w krótkim czasie wszystko psuło, nawet lekarstwa po upłynionym półroczu traciły właściwość swoją. Rzucono się na prywatne spiżarnie obywateli, ale te na bardzo krótki czas wystarczyć mogły, później na muły, osły, psy, koty a nawet szczury po magazynach. Z czasem i to się przebrało».

»Murzyni, poznawszy Polaków bliżej, gdy się dowiedzieli, z jakiego powodu zostaliśmy wysłani do San Domingo, zmienili postępowanie swoje z nami i odtąd z jeńcami naszymi z największą ludzkością obchodzić się zaczęli».

»Paweł Louverture, przywódca Murzynów, zgromadziwszy pewnego razu Polaków zabranych w niewolę, ofiarował im, ażeby pozostali w San Dominogo z wolnym używaniem wszelkich praw obywa-

telskich. Pomimo tego żaden Polak nie opuścił sztandarów narodu, pod którym walczył i nie korzystał z podobnego dobrodziejstwa. Po oswobodzeniu wyspy przez Murzynów, gdy w nadanej konstytucji zawarowano, iż cudzoziemcom nie wolno będzie posiadać żadnej nieruchomości na wyspie, wyłączono jednak od tego nakazu Polaków».

Rozumieli Murzyni chwilami lepiej położenie Polaków od naszych możnych sprzymierzeńców. Zdarzyło się, że generał francuski, którego rozkazem podporządkowano batalion polski, wprowadziwszy go bez skrupułów w błąd, przeszedł na stronę Murzynów. Polacy zorientowali się w zdradzie i na widok nieprzyjaciela

»zabierali się do strzelania. Generał nie dał jednak strzelać, powiedziawszy podporucznikowi Pretwiczowi, że »to są nasi«; jednocześnie dał Murzy nom znak chustką, że przybywa według umowy. Murzyni otoczyli wokół naszych biednych 30 Polaków i chcieli ich zaraz mordować. Pretwicz prosił generała Krzysztofa, aby im życie darowali i jako niewolników uważali. Przyszedł zwierzchnik i rozkazał czarnym, aby żadnej przykrości nie robili Polakom. Murzyni też odstąpili, ale zabrali naszym broń i ładunki i przez noc ich pilnowali. Nazajutrz przywołał Krzysztof podporucznika Pret-

wicza do siebie i rzekł: — Ja was wymienię na muzykę murzyńską, pozostałą w Cap-Français, ale wyślij jednego żołnierza polskiego z moim listem do generała Rochambeau. — Pretwicz wysłał więc żołnierza z listem i od niego dowiedzieli się nasi o losie towarzyszków. Generał Rochambeau odpowiedział, że nie odda muzyki murzyńskiej, a Polaków niech sobie zatrzymają. Rochambeau był tyranem nie tylko czarnych, ale nawet Polaków, których na okrutne męczarnie i śmierć oddał. Z nich żaden nie powrócił...»

W spotkaniu z powstańcami pod Cap Français... pomiędzy Francuzami i Polakami stanął jeden batalion Murzynów, który jeszcze nie przeszedł do swoich. Wtem Murzyni, co służyli u Francuzów, dali ognia na prawe skrzydło do Francuzów, a druga połowa na lewe skrzydło do Polaków i sami przeszli do Murzynów. Francuzi cofali się pod armaty, które z Cytadeli strzelały do Murzynów, a kapitan Krzyszkowski z swoją kompanią odcięty cofał się nad morzem do małego opuszczonego domku. Czarni otoczyli ów dom. Polacy bronili się do ostatniego ładunku. Francuzi nie dali im żadnej pomocy. Murzyni podpalili dom, a z nim padła ofiarą

reszta niedobitków z całej naszej brygady polskiej. Nieboracy!

Ogółem z dwu brygad powróciło do Europy kilkunastu oficerów i niespełna 150 żołnierzy oraz podoficerów.

Garstka niedobitków II brygady, która ostatecznie skapitulowała, dostała się w charakterze jeńców wojennych pod władzę angielską. Pozwolono im udać się na własny koszt do St. Zjednoczonych, gdzie mogli skorzystać z opieki konsulów francuskich. Chciał generał Małachowski, któremu zawdzięczamy część cytowanej tutaj relacji z nieszczęsnej wyprawy, wyjechać w towarzystwie swego lokaja nie podpadającego pod kategorię jeńców wojennych. Komisarz angielski odmówił:

»Mogliście służyć Francuzom, przelewać krew w ich sprawie i ginąć, to mogą żołnierze wasi służyć i w Anglii, a będą lepiej odziani, zapłaceni i szanowani. A jeżeli chcesz mieć służącego, wybierz sobie między Francuzami, jaki ci się podoba, a będzie wydany«.

Żywsza wymiana zdań nie poskutkowała.

Polacy, mimo oplakanej niedoli, bili się z bezprzykładnym męstwem. Czy myślicie, że via Francja rozślawiło się ono po całym świecie? Nie, to stało się po trosze tylko dzięki mieszkańcom wyspy, którzy zdołali oswobodzić się z pod francuskiej przemocy i ogłosić niepodległość, po trosze też za pośrednictwem świadków Anglików i Amerykanów. Gorzko zasłużone dobre imię polskie o mało nie zginęło zupełnie.

Dzienniki francuskie, a za nimi wszystkie zagraniczne w Europie

»głosiły, żeśmy przechodzili na stronę Murzynów i z nimi przeciwko Francuzom walczyli i że dlatego kolonia utrzymać się nie mogła«.

Przeciętny obywatel francuski, opierający słabą wiedzę o losach klejnotu w koronie kolonii, na gazeciarskich doniesieniach, formułował oskarżenia pod adresem Polaków mniej więcej z taką słuszością, jak w 120 lat później czynił odpowiedzialnymi za spustoszenia germańskie w pierwszej wojnie światowej biednych naszych emigrantów spod zaboru pruskiego. Jak wiadomo, Francuzi lubili po-

spolicie odróżniać Polaków z Pologne Prusse od Pologne Russe.

Wszelako najczęściej z przeciętnych opinii w narodzie pozostaje trwały ślad na przyszłość, rodzą się powszednie uczucia w stosunku do innych narodów lub pogłębia się ogólna ignorancja względem spraw drugiego narodu. Obojętność mocarstw zachodnich wobec sprawy Polski mogła od wieków wejść w przysłowie. Zresztą »*calomniez, calomniez* — jak mówił Voltaire — *il en restera toujours quelque chose*«. Mniejsza o prawdę, jeśli mowa o uprzykrzonych cudzoziemcach, którzy usiłują gwałtownie upiec swoją pieczeń na cudzym ogniu, bodaj na dalekim San Domingo.

Nie da się zaprzeczyć, iż w urzędowym raporcie z lustracji 113. pułku, przesłanym do ministerium wojny, wykazano znaczną liczbę uciekinierów. Dezercja między Polakami istniała jednak tylko na papierze. Rzeczywistość zadawała kłam formalnemu protokółowi; na dezercję Polaków Francuzi nigdy się nie uskarżali.

»W całej armii francuskiej kapitanowie podawali za obecnych... ludzi oddawna nie istniejących, dla pobierania za nich płacy i żywności«.

Polacy nauczyli się pod tym względem oszukiwać inspektorów armii lepiej od swych sojuszników. Zwyczaj przyjął się już dawniej podczas służby we Włoszech.

»Na nakazaną lustrację najmowano ludzi, których dosyć było ubrać w mundury i postawić w szeregu, ażeby gdy kolej nadejdzie, odezwał się słowem: Francuz lub Włoch *présent*, a Polak *jestem*, gdyż inspektora obowiązkiem było porachować ludzi, sprawdzić listy przyzowne i potwierdzić takowe dla ułożenia płacy na obecnych pod bronią i potrącenia tego, co nadebrane być mogło. Ale nasz 113-ty regiment za daleko manewr ten posunął. Kapitanowie nie podawali zmarłych wśród widocznej śmiertelności; dostrzeżono to, nakazano ścisłą lustrację „*revue de rigueur*”; nie było dla nich innego do ratowania się środka, jak podać naraz kilkuset dezertarów«.

Do identycznego sposobu uciekł się także płatnik polski, kapitan Kobyliński, umieściwszy

»w kontroli znaczną liczbę ludzi, którzy już pomierali i za nich pieniądze zabrał. Gdy nagła przyszła lustracja

—brzmia zgodnie relacje trzech pamiętnikarzy—

»podał wszystkich za deztererów i okrył tych Polaków hańbą, zwłaszcza że temu uwierzono«.

Nawiasem mówiąc, Kobyliński nie ustępował moralnością swym kolegom francuskim. Nie zawsze Francuzi dorównywali zbiorowo Polakom w bohaterskiej walce; nigdy nie robili im z tej przyczyny wdzięcznej a zasłużonej reklamy. Za to w wyjątkowym wypadku nadużyć finansowych Polaka podnosili niesłychane larum. Kobyliński został

»w końcu aresztowany, okuty w kajdany i na ponton oddany, gdzie, mając znaczne pieniądze, przepłacił straż i uciekł na statek kupiecki, na którym był kapitan francuski płatnik. Przyłynęli obaj na wyspy hiszpańskie, w jednym miasteczku na wyspie stanęli razem i tego kapitana otrul dla zabrania po nim znacznej sukcesji. Francuz atoli poczuł chorobę, czym prędzej doktora użył, i przez forsowne wymioty zwrócił zadaną truciznę i wyzdrowiał. Kapitan, mszcząc się, zadał Kobylińskiemu inną truciznę, z której ten nie mógł się wyleczyć i umarł. Francuz znów po nim zabrał sukcesję«.

O honor Polaków upomniął się generał Kazimierz Małachowski, po powrocie do Francji, zabiegając o audiencję u Murata, jako wysokiego protektora nieszczęsnej wyprawy

kolonialnej. Żadne nadużycie nie odnosiło się do formacji petenta, tym śmiej się więc prosił w obecności licznie zgromadzonej generalicji,

«o sąd lub komisję, ażeby kto chciał dowodzić, żeśmy nie byli wiernymi rządowi i przechodzili na stronę Murzynów i z nimi przeciwko Francuzom walczyli».

— Ja daję głowę moją w zakład — zawołał Małachowski. — Bronię nieskazitelnego imienia żołnierza polskiego, bo ono nam już tylko pozostaje z wiernej służby dla cesarza. Musimy się jednak o nasze dobro upominać.

— Taisez vous — rzekł Murat. — Wasza sława opiera się na chrzcie bojowym, nie na fałszywych doniesieniach. Cesarz już sprawę badał i przekonał się o wszystkim, nawet jest niekontent, że nieprawdę do pism podano. Milczcie! więcej ani słowa!

Po żołniersku,

Dwie chorągwie, okryte nie tyle sławą oręża, co żalosną gehenną żołnierza polskiego, przekazali ostatni niedobitkowie z San

OD SAN DOMINGO DO CASSINO

Domingo, dawnemu wodzowi Legionów, naczelnemu strażnikowi sprawy polskiej, generałowi Henrykowi Dąbrowskiemu.





sześć lat potem bojownicy o wolność Polski zawędrowali na półwysep Iberyjski. Nowe szeregi wojsk polskich wystąpiły do walki przeciwko Hiszpanom, broniącym gorąco ojczystej ziemi. Za Pirenejami rozgorzała wojna zaborcza, celem wciągnięcia Hiszpanii za wszelką cenę do systemu polityczno-gospodarczego Napoleona. Dyktator obiecywał uszczęśliwić swych zwolenników tanim kosztem Europejczyków, nie kwapiących się do wystawienia mu bez zastrzeżeń patentu na geniusza, uzdrowiciela cierpiącej ludzkości.

— Ofiarujcie mi swą krew — agitował Napoleon między rodakami — podniosę wa-

szą stopę życiową i zapewnię upragniony dobrobyt.

W imię sławionego dobra ogólnego, władcom wystarcza rozkazywać, a krew narodu płynie za nimi w drodze ustawodawczej. »Kto chce łagodzić swoje nędze, niech idzie z nami! Skorzysta każdy w błogosławionym przymierzu pod warunkiem złożenia jak najbogatszej daniny krwi«.

Na gromkie a ponętne wołanie zerwali się oczywiście w pierwszym rzędzie Polacy, ochotnicy, ożywieni niezmożonym pragnieniem odbudowy własnej umiłowanej ojczyzny. Cóż za pretensje mogą mieć ci ochotnicy ewentualnie do wielkiego Napoleona, czy do narodu francuskiego? Przecież zgłaszali się gorliwie z własnej, nieprzymuszonej woli. Czyżby nie wiedzieli, co czynią?

Wszystkie wybrzeża Europy, poczynając od południa, postanowił cesarz objąć francuską kontrolą celną. Ktokolwiek stanąłby na zawadzie mknącemu rydwanowi Marsa, zostałby ugodzony piorunami.

Jak powiada historyk Tarlé, po niewolniczym upokorzeniu się Prus,

»zacięty opór Hiszpanów stał się dla Napoleona zjawiskiem nieoczekiwanym. Bunt oberwańców-nędzarzy (!) doprowadził cesarza do wściekłości...«

Przerwawszy dzieło budowy nowej Europy na wschodzie (po zawarciu pokoju w Tylży i spotkaniu z carem Aleksandrem w Erfurcie), pośpieszył jesienią 1808 do Hiszpanii,

»rozniewany bezgranicznie na zuchwałych, brudnych, ciemnych chłopów hiszpańskich«.

»Napoleon nie przewidział, jak potężne rozmiary przybierze szalejący nad Hiszpanią pożar«.

Jak widać, renomowani geniusze nie są wcale tak przewidujący, za jakich przedwcześnie uchodzą, niechybnie dlatego, że chłopci w kraju padającym ofiarą najazdu, nie bywają bynajmniej owymi ciemnymi i brudnymi oberwańcami, jakimi chce ich widzieć jakiś zarozumiały despota, koronowany awanturnik lub uniwersalny znachor, urzekający samodzielnie wszelkie choroby globu ziemskiego, bodaj sam najczęściej oberwaniec. Niewiadomo, dlaczego kuglarzowi przysługiwać ma przywilej bezkarnego obrażania

ludzi, a jemu nie wolno nadawać właściwych epitetów. Czy mocarz ich nie wytrzyma? Niepoprawny kult t. zw. romantyków czynu sprawia, że budzą się coraz nowi naśladowcy i epigoni satrapów, w atmosferze sprzyjającej udoskonalaniu ich wydań.

Już od połowy czerwca 1808 wojsko napoleońskie w liczbie 20 tysięcy oblęgało bez powodzenia stolicę Aragonii, Saragossę. Korpus polski, złożony z 2-ch pułków jazdy i 1 pułku piechoty Legii nadwiślańskiej brał udział w tej kampanii, nie ustępując rozlewem krwi formacjom francuskim.

Tryumf Saragossan, którzy zmusili armię napoleońską po dwu miesiącach próżnych wysiłków do wycofania się poza rzekę Ebro, zapalił płomiennym oporem cały naród hiszpański.

Wiele twierdz i zbrojowni udało się Francuzom opanować zawczasu, przez przeniknięcie do kraju różnymi podstępными sposobami przy pełnym wykorzystaniu słabości narodu, nieprzygotowanego zupełnie do wojny, »zamożniejszego w zakonników niż w wojsko«.

Stolica została z łatwością opanowana przez Francuzów. Słaby i tchórzliwy król uciekł do Portugalii, rząd nie wykazał żadnej inicjatywy, młody następca tronu, w którym pokładano najbardziej nieuzasadnione nadzieje, dostał się w ręce nieprzyjaciela, uznał kraj formalnie za podległy Francji, a pierwsze dwory europejskie zaakceptowały czym prędzej zdobycz Napoleona, w mniemaniu że kupią sobie pokój na przyszłość. 80-tysięczna armia użyta do pierwszej wyprawy na Hiszpanię wydawała się dostateczna do zawojowania całego »narodu nędzarzy«. Wielki cesarz nie uważał nawet za potrzebne osobiście zaprzętać sobie głowę kotłem pirenejskim, wyręczając się swoimi generałami i uważając pacyfikację za dokonaną przez osadzenie na tronie hiszpańskim rodzonego brata Józefa.

Tymczasem odważna i umiejętna obrona Saragossy, pod wodzą generała Palafoxa, unicestwiła w jednej chwili brawurowe poczynania najeźdźców.

Przyzwyczajony do zwycięstw łatwych w środkowej Europie, Napoleon sądził — jak się to wielom

zdarza — że samym odgłosem jego imienia i sławą wojsk, nieprzyjaciel da się zastraszyć... więc wpadł na myśl tworzenia pułków, batalionów i szwadronów marszowych, gdzie zbieranina z różnych oddziałów, najczęściej młodych rekrutów, pod dowództwem nadto starych oficerów, składała wojsko, nie mogące nawet pełnić zwyczajnej dziennej służby... Oprócz oddziałów gwardii, artylerii i pułków zagranicznych, jako to: Szwajcarów, Irlandczyków itp., całe wojsko francuskie początkowo do Hiszpanii wysłane, było tego rodzaju zbieraniną, pod nazwą „*regiments de marche*”. Tymi to figurantami wojsk francuskich głośnych zwycięstwami, chciał Napoleon zaimponować narodowi hiszpańskiemu, który mniemał być zniewieściałym. To fatalne uprzedzenie było przyczyną całego zawiedzenia się jego w niepolitycznym zamachu na Hiszpanię i dalszych stąd wynikłych niepowodzeń.

»Niezwyciężona« armia, co świeżo pobiła »na łeb i szyję« urodzonych żołdaków pruskich, nie zdołała uporać się programowo z »obdartusami« i »brudasami«. Nagle porwał się do broni patriotyczny lud.

»Nie jedna część, nie jedna klasa Hiszpanów powstała. Wszystkie klasy ludu 13 prowincji, zwyczajami, językiem nawet od siebie odróżnionych, wzajemnie się nienawidzących, z własnej woli po-

dały sobie dłonie. N a r ó d, którego wszystkie członki czują wielkość tego nazwiska, musi mieć także wielkie te epoki, których historia jest historią ludu, nie zaś dziejami kilku osób. Żołnierz francuski zaczął tu wojnę z narodem; dotąd prowadził ją z rządami«.

Rozbrojenie 100.000 żołnierzy hiszpańskich nie przesądzało wcale losu ludności cywilnej kraju.

»Naród który prócz siebie nie chce znać innego, który na wszystko co jest cudzoziemskie, ze wstrętem spogląda, naród... ten odporny kruszec, który żadnej obcej nie dopuszcza mieszaniny, naród na koniec, gdzie każdy umie kochać lub nienawidzić, musiał cały powstać w wojnie o niepodległość. Skoro szło o tę świętą sprawę, Hiszpan stał się głuchy na 16-letnie tryumfy swych przeciwników, widział tylko swoje poniżenie. Nie czekał związków, klubów, odezw naczelników, pomyslnych walki wypadków; porwał natychmiast oręż na obronę kraju; kapliczki przemieniły się w twierdze, zakonnicy wzięli broń. Przegrana jedna nie rozprzegła różnych klas ludu, obiecywane przez nieprzyjaciela korzyści nie odciągały jednej od drugiej, bo każdy był powodowany jednym duchem; wszystkie klasy ludu walczyły o tę właśnie korzyść, której nieprzyjaciół ofiarować nie chciał: o n i e p o d l e g ł o ś ć n a r o d o w ą«.

Lekcewazył Napoleon swojego przeciwnika. Z równą tedy słusnością poniżał Palafox, w oczach swoich rodaków, znienawidzonych agresorów. W odezwie do mieszkańców Madrytu przyrzekał odsiecz, piętnując Francuzów pogardą:

»Skoro pozbędę się tej holoty, co ośmieliła się narzucić na mury Saragossy, pośpieszę i wam na pomoc. Ledwie mam czas ocierać szpadę, zbroczoną krwią tych nędzników. Sprawimy im pożądane we-sele. Cierpliwości, wytrwałości, odwagi i męstwa!«

Ale załoga francuska w Madrycie na skutek krytycznego położenia w północnej części Hiszpanii, sama skapitulowała haniebnie wobec zwyciężonych.

W roli intruza wystąpiła w hiszpańskim teatrze wojny Legia nadwiślańska, owładnięta »glorią« napoleońską, złudą walki o Polskę.

Zaraz po przeprawieniu się przez granicę francusko-hiszpańską, w miasteczku Iron, jazda polska przekonała się, że nie była chętnie witana przez Hiszpanów,

»mając przedsmak tego, czego później w tej długiej, upartej i krwawej wojnie doznawała ciągle«.

Jeden z uczestników wyprawy opowiada

o przyjęciu w miasteczku pogranicznym,
gdzie Polacy rozbili kwaterę :

»Poznajemy po Hiszpanach i Hiszpankach w tym samym domu mieszkających, że są bardzo pomieszani i coś się nas bardzo boją, a nie wiedzieliśmy przyczyny tego, aż nadszedł z drugiego domu Hiszpan, który mówił cokolwiek po francusku. Pytamy się jego, czego się nas tak boją? a on odpowiedział, że dnia wczorajszego przechodzili tu Francuzi i mówili, że maszerują za nimi Polacy, co ludzie jedzą, więc to dlatego tak się boją. Aż potem, może upłynęła czasu godzina, coraz więcej Hiszpanów i Hiszpanek schodzi się do kwatery naszej, przypatrując się nam, a gdy zobaczyli czapki z piórami strusimi białymi, stojące na stole, na kokardach krzyże srebrne przypięte, coraz to bliżej postępują do stołu, wreszcie zbliżają się do samych czapek, te krzyże całują i mówią po hiszpańsku : »Ci Polacy są katolicy rzymscy, bo noszą krzyż święty Jezusa Chrystusa, Boga naszego, tak jak i my, są więc przyjaciółmi naszymi. Odtąd już śmielsi byli do nas«.

Inny oficer wspomina pierwsze bolesne
wrażenia :

»Wystawiono ludowi nadchodzących Polaków jako naród dziki. Część tego gminu uwierzyła, że Polacy są ludożercami, dlatego z nieśmiałością wychylał się lud z mieszkań swoich, gdy polskie pułki prze-

chodziły. Ze wstydem potem wyznawały kobiety, że podczas pierwszego przechodu pułków polskich kryły swoje dzieci».

O wiele więcej ludzkiego zrozumienia i duchowej wspólnoty znaleźli Polacy wśród Hiszpanów, niż u większości ludu francuskiego, nie grzeszącego bynajmniej nadmiarem poszanowania sprzymierzeńców. Hiszpanie nadawali się bardziej do wymiany głębszej sympatii z Polakami, niżli do nienawiści i wzajemnego rozlewu krwi.

»Nic w Hiszpanii nie znaleźliśmy podłego : wiele, bardzo wiele do naśladowania — wyznaje generał Żałuski. — Zaczepiając charakter narodu hiszpańskiego, zarzuca się sztylety i trucizny. Nie chcemy opuścić sposobności oddania naszego świadectwa narodowi hiszpańskiemu, i jeżeli się lubi sam nazywać *heroica nación*, to jest takim istotnie. Cóż tam cudzoziemcowi nachodzącemu kraj ich, narzekać na sztylety, kiedy tam nikt zwyczajnie nie chodzi bez sztyletu, to jest bez noża kończącego obosiecznego i chłopci codziennie pojedynkują się na takie noże. A co do trucizny, nie słyszałem o niej, lecz widziałem ją w piwnicach wina, z której mnóstwo Francuzów i naszych Polaków ginęło. Jeżeli nam się godzi śpiewać : Cześć polskiej ziemi, cześć ! to niech mi wolno będzie powiedzieć,

że te same słowa zastosuję do tej samej Hiszpanii, z którąśmy wojowali tak niechętnie, tak niewinnie».

Pośród Hiszpanów, którzy posiadali niejaką wiedzę o Polakach,

»przebijało życzliwe uczucie, a nawet zamiłowanie narodowości polskiej, pochodzące bezwątpienia z uwielbienia dla katolicyzmu polskiego, którym się nasz kraj i rząd pośród Europy od wieków szczególnie odznaczał».

Prawda, że Hiszpanów ogarnął szal nienawiści do napoleończyków, którzy zaczęli im wystawiać opinię straszliwych okrutników. Prawda, że oddziały francuskie były niejednokrotnie trute masowo i unieczystwiane podstępnie, wabione w zasadzki, że śmierć czyhała niemal na każdym kroku, tam gdzie żołnierz ośmielił się pokazać w pojedynkę między Hiszpanami.

»Nie mogąc walczyć otwarcie z przemocą, Hiszpanie poczęli mścić się potajemnie. Zatruli w magazynie wojskowym chleb i wino, a nawet w dwóch fontannach wodę, której szwoleżery i wogóle jazda używała dla siebie i koni. Szczęściem dowiedziano się o tym i chleb, który już rozdano żołnierzom, odebrano napowrót. Przez 10 dni nie dawano szwo-

leżerom ani chleba, ani mięsa i wina; każdy żywił się jak mógł po znajomych domach. Przy fontannach warty stały dniem i nocą».

Ale czy te wstrząsające obrazy mają jednocześnie świadczyć o delikatniejszych uczuciach ludzkich i wyższości charakteru Francuzów?

Zgódźmy się zgóry, że tam gdzie dwie narodowości oskarżają się o brak serca, wina leży niepodzielnie po stronie agresora - najeźdźcy. Najpierw Niemcy (1939) wysyłają znienacka pociągi pancerne zamiast pasażerskich na stacje kolejowe sąsiedniego państwa, ostrzeliwują w olbrzymiej akcji dywersyjnej obrońców napadniętej zdradziecko ojcowizny, bombardują bez wypowiedzenia wojny ludność miast, a potem śmiało skarżyć się płaczliwie z powodu aktów odwetowych i podnosić pretensje do miana stróżów moralności międzynarodowej. Humanitarni, wytworni rycerze! Zaczęli Francuzi panowanie od jednej i drugiej masakry Hiszpanów, broniących z fanatyzmem ojczystych zagonów — szczególnie okrucieństwem odznaczała się prawa ręka Napoleona w osobie Murata —

w następstwie wojsko francuskie doznawało zniewag na drogach, ścigane przekleństwami i ciskane kamieniami.

»Od wnijsia do Hiszpanii widziałem, że naród hiszpański przyjmował wszystkie oddziały Francuzów z nienawiścią i z niebezpieczeństwem dla ludzi pojedynczo się pozostających, poznać było można wyraźnie, z jaką radością się naśmiewano z niezgrabnych, niedołężnych, słabych młokosów, wlekących się z narzekaniem za poprzedzającymi tak zwanymi oddziałami »de marche«. Jeżeli szły jakie komendy starych żołnierzy z wyrazem siły i dumy, malowała się na twarzach hiszpańskich nienawiść.

Ofiarą nieogłędności i błędów psychologicznych Napoleona padali dowódcy francuscy, którzy zmieniali się jeden po drugim. W złej sprawie przelewała się cenniejsza od francuskiej, wedle Hiszpanów, polska krew.

Polacy »wyprosilili się od działania przeciw ludowi«, to znaczy od udziału w egzekucjach, odbywających się z rozkazu Murata., Wywołało to »żywą miłość u Hiszpanów«. Pierwotne uprzedzenie do Polaków, uważanych za pogan, zanikło.

»Lud zabijał wszędzie, gdzie napotkał, pojedynczych Francuzów; położenie więc Polaków było groźne,

gdyby nie to, że swym postępowaniem i zachowaniem się umieli sobie zjednać u mieszkańców uznanie. Mikułowski i Mogilnicki, świeżo mianowani wtedy oficerami, przeszli wśród rzezi pieszo cały prawie Madryt... Raz tylko napadła na nich gromada rozjuszonych chłopów i chciała ich zamordować, gdy spośród tłumu dały się słyszeć głosy: — Zostawcie ich, to są Polacy! Dwóch znowu żołnierzy, Kowalskiego i Prędowskiego, kilkunastu zakonników dominikanów na własnych rękach zaniosło do swego klasztoru i tam ukryło przed tłumem».

»Gwardia narodowa hiszpańska nie chciała z nikim patrolować po mieście, tylko z Polakami i wszędzie ich, gdzie się ukazali, przyjmowano okrzykami radości, częstowano i pojono. Polacy też nawzajem okazywali wszędzie poszanowanie obyczajów i uczuć narodowych. Gdy patrol polski szedł i spotkał księdza z wiatykiem, zaraz zsiadał z koni, żołnierze zdejmowali czapki i w postaciach pełnych uszanowania towarzyszyli księdzu. To wszystko, to rozumne postępowanie... zjednało szwoleżerom miłość u ognistego i fanatycznego ludu hiszpańskiego».

Trafili Polacy do serc Hiszpanów nawet przez widowiska ludowe. Niemalby rozgłos zjednali sobie w Burgos przez poskromienie byka na arenie cyrkowej.

»Właśnie gdy uchodzili do tego miasta, odbywało się tam igrzysko z bykiem. Kilku szwoleżerów zsiadło z koni, wbiegli na plac i poczęli się za bykiem uganiać. Lud widząc to począł wołać z przerażeniem: »Polacy, poginiecie!« ale nasze zuchy nie ułękli się. Jeden schwycił byka za rogi, drugi za ogon, inni gdzie i jak mogli i osadzili rozjuszone zwierzę na miejscu. Odwaga ta i siła zrobiła na samym początku niemałą sławę Polakom«.

Oczywiście epizod pozbawiony był najmniejszego znaczenia; ależ niepodobna Hiszpanii opisywać bez wzmianki o walce byków.

Daleka była myśl Polaków od bezwzględności Clausewitzów i Schlieffenów, głoszących jako kardynalne prawo wojny unicestwienie przeciwnika pod każdym względem, aż do ostatnich konsekwencji. Polak - zdobywca nawiązywał do mądrości klasycznej, notując po zajęciu miasta charakterystyczną sentencję Wergiliusza: »Oszczędzać zwyciężonych i pokonywać pysznych«. Jak pisze gen. Załuski, b. szef szwadronu gwardii cesarza Francuzów:

»Pierwsi wkroczyli Polacy do miasta Lermy, zastali je zupełnie puste. W środku rynku zastałem ratusz okazały, ale bezludny. Wstąpiłem do sali radnej.

a zastawszy tam księgę sesjonalną rozłożoną, wpisałem wiersz: „*Parcere subiectis et debellare superbos*”.

Polacy uczestnicy wyprawy pirenejskiej w relacjach pamiętnikarskich sławią jednomyślnie słuszność i świętość sprawy Hiszpanów, oddając im sprawiedliwość z głęboką satysfakcją.

Bohater Somo - Sierry, pułkownik Andrzej Niegolewski, daje świadectwo prawdzie:

»Hiszpanie haniebnym obchodzeniem się Napoleona z ich familią królewską, w swej dumie upokorzeni i do ostatniego rozjątżenia doprowadzeni byli... Więcej przewinił sam cesarz, który mało zwracał uwagi na miłość narodu każdego do samodzielności i wolności.« »Taka to była wojna nasza w Hiszpanii, gdzie ani my przez represalie ani Hiszpanie jeńcom nie przepuszczali, tylko każdego zabijali, a fanatyzm Hiszpanów posunął ich do okrucieństw podobnych, jakich się na nas Murzyni na San Domingo dopuszczali. Nosy, uszy, języki wyrzynali, co więcej między dwie belki włożywszy jak deski różnili. Po wszystkich też nicomal drogach w pochodzie naszym do Somo-Sierry, napotykalismy wiszących już to Hiszpanów, już to naszych«.

Usprawiedliwia zarazem Niegolewski

»zapal i nienawiść, jaką słusznie wszystkie warstwy ludności przeciw Francuzom, jako ich kraju najeżd-

nikom, pałały... Służy ona za przykład wszystkim narodom, które nieszczęście spotkało dostania się pod obce jarzmo; zrzucenie więzów z pewnością nie jest niepodobne, skoro naród ujarzmiony duch taki ogarnie, jaki ogarnął Hiszpanów, gdzie każdy pojedynczy mieszkaniec uważał się za żołnierza walczącego, i jak mógł z własnego popędu nieprzyjacielowi szkodził».

Kiedy nakoniec niedostateczną armię francuską zmuszono do kapitulacji pod Beylen i działania obronne rozszerzyły się po brzegi morza Śródziemnego, Napoleon zapalał

»żądzą już to przywrócenia orężowi francuskiemu sławy, już to by brata swego na tronie osadzonego utwierdzić«.

Wyruszył więc osobiście na czele 200-tyśięcznej armii na południe.

Tej to armii polski szwadron szwoleżerów utorował drogę do Madrytu przez słynne wzięcie wąwozu Somo-Sierra.

Pewny, że opór Hiszpanów złamie ostatecznie zdobyciem stolicy, Napoleon ruszył do Madrytu najkrótszą drogą przez Burgos. D. 29 listopada 1808 stanął u stóp wąwozu

Somo-Sierra, obsadzonego bardzo silnie przez wojska hiszpańskie.

Cała Hiszpania uważała, że wawóz jest nie do zdobycia. Stolica była pewna skutecznej obrony, tak dalece, że rząd nie poczynił najmniejszych przygotowań do ewakuacji. Uważano ją za zbytę, skierowawszy wysiłki obronne ku utrzymaniu wawozu za wszelką cenę. Piechota francuska, przeznaczona od pierwszej chwili do sforsowania wawozu, szarpała obrońców bez powodzenia.

»Grad kul zgóry spadający, który wszystko co się na gościńcu znajdowało, zmiatał, musiał przecieżyć wkrótce cesarza przekonać, że piechotą wawozu nie zdobędzie«.

Sprawa nastroczała olbrzymie trudności, przepelniające zwątpieniem francuskich generałów. Gościńiec wijący się na przestrzeni 5 kilometrów, prowadził głęboką doliną do przełęczy, położonej 1441 m nad poziomem morza; przełęcz sama górowała 300 m nad wejściem do wawozu. O dwa kilometry od niej Hiszpanie ustawili cztery działa, celem nieustannego ostrzeliwania zbliżających się Francuzów. W najwęższym przesmyku wawo-

wozu, za zasiekim, zagradzającym drogę, ustawiono baterię złożoną z dalszych czterech dział. Pomiedzy tymi bateriami ustawiono jeszcze dwie na zakrętach drogi, wiodącej pod górę. Szesnaście dział broniło w ten sposób piętrowo dostępu do wsi Somosierry, leżącej tuż za wąwozem.

14.000 żołnierzy hiszpańskich obsadziło wierzchołki gór wzdłuż gościńca. Strome, niedostępne skały u wejścia do wąwozu uniemożliwiały piechocie francuskiej rozpoczęcie akcji od opanowania wyżyny, toteż warunkiem nieodzownym uczynienia jakiegokolwiek postępu stało się wprzód zdobycie pierwszego odcinka drogi i unieszkodliwienie wszystkich dział nieprzyjacielskich.

»Wąwóz ten był też, tak jak go istotnie Hiszpanie obwarowali, podług pojęć ludzkich niezdobyty«. Raz wraz piechota francuska wracała do punktów wyjścia. Artyleria nie zdołała w natarciu odegrać żadnej roli, gdyż przed wąwozem Francuzi mogli ustawić na pozycji tylko dwa działa. Może po uporczywych walkach i przy wielkich ofiarach udałoby

się ostatecznie piechocie francuskiej zająć stoki górskie nad wąwozem, ale zyskując na czasie Hiszpanie wzmocniliby łatwo oddziały po obu stronach gór.

Gęsta mgła spowiła okolicę. Główna kwatera Napoleona ulokowała się w ostatniej wsi przed Somo-Sierą.

Cesarzowi towarzyszył pułk polskich szwoleżerów gwardii.

Wczesnym rankiem 30. listopada Napoleon zwiedzał plac boju. Z rozpraszaniem się mgły w promieniach słońca, ogień bojowy ożywał się.

Stanąwszy w pobliżu baterii, Napoleon obejrzał przez lornetkę warunki walki. Zbadał rozłożenie piechoty nieprzyjacielskiej i stwierdził niemożliwość ruchów jakichkolwiek formacji. Spochmurniał.

Nakazał jednak kontynuowanie ataku piechoty z artylerią. Zawróciwszy konia, zsiadł z niego w nieodległym miejscu. Usiadł na stołku przy ogniu, który pod drzewem rozpalono. Oczekiwał raportu o postępie wyborowych oddziałów francuskich. Daremnie.

Przesłuchał czterech hiszpańskich dezertów, dawnych żołnierzy francuskich, którzy objaśnili cesarza o położeniu sił nieprzyjacielskich, co potwierdzone zostało przez podjazdy plutonu kawalerii polskiej. I wtenczas,

»kiedy cesarz przy ogniu siedział, jeden z naszych szwoleżerów przedzierał się pośród orszaku cesarskiego do ognia, by sobie fajeczkę zapalić, od czego w bliskości stojący generałowie go wstrzymywali. Cesarz widząc to miał powiedzieć: »Laissez le faire«. Szwoleżer fajeczkę zapalił. Jeden z obecnych oficerów miał mu za to kazać cesarzowi podziękować, na co szwoleżer w przekonaniu, że nie napróżno nasi tak blisko gór Hiszpanami obsadzeni stanęli, powiedział: »Co ja tu mam dziękować! Ja mu tam — wskazując na góry — podziękuję!«

Wersja taka przyjęła się później w szeregach polskich — o zrodzeniu się w głowie Napoleona myśli zdobycia wąwozu przy pomocy lekkiej kawalerii. Któż zaprzeczy możliwości podobnej genezy pomysłu, powstałego odruchowo, a według teorii wojny zupełnie nierealnego? Wszak młodzi szwoleżerowie, mimo braku doświadczenia wojennego, rwali się do ognia i szacowani byli przez Napoleona bardzo wysoko pod względem warto-

ści ducha bojowego. Fantastyczność inicjatywy wcale go nie zrażała. Pasją wodzów było i będzie zawsze dowodzenie wykonalności rzeczy nieprawdopodobnych.

Brawurowy czyn szwadronu lekkiej kawalerii był wówczas literalnie tym, czym w dzisiejszej dobie stało się pokonywanie linii Maginota, albo tzw. wału Atlantyckiego. Niezwyciężalne zostało przez Niemców przekreślone, legenda przechodziła z obiektu obronnego na osobę wodza, zasłużona chwała okrywała wykonawców szalonego rozkazu.

Naturalnie rozprawki wojskowe nie analizują przypadków, unikają niebezpiecznego tematu hazardu wojennego, nie wążą czynników szczęścia i improwizacji, tam wszystko bywa dokładnie i niezwykle intuicyjnie obliczone, przewidziane, objęte orlim wzrokiem wodza, bajecznie gładko rozstrzygnięte. Dziwne tylko, że genialni rachmistrze wykazują pod Waterloo czy pod Stalingradem zgoła kiepską znajomość zasad kalkulacji i wtedy zapisuje się wszystko *en masse* na koncie Opatrzności z sentencją: *Sic transit gloria*

mundi. Lepiej zawsze dla wojska, mającego dokonać cudów, jeśli legenda przywiązana jest do nieprzewycięzonych przeszkód materialnych, zamiast do »niezwyciężonej« armii. Budzi się naturalniejsza ambicja, nie ma niechęci ani zmęczenia.

Napoleon pod Somo - Sierrą miał w rękę tylko jeden atut: wiarę i świadomość, że na wykonanie karkołomnego planu porwą się z szaleństwem i obłądną wiarą w zwycięstwo tylko Polacy! W imię miłości Ojczyzny!

Do podjęcia szarży jazdy trzeba było potężnej furii, szalonej odwagi, zdecydowania w błyskawicznym działaniu. Hazardzista nie zawahał się postawić życia 124 ludzi na jedną kartę, posłać ich na pewną śmierć. Usprawiedliwiał go dostatecznie fakt, iż Polacy rwali się sami do desperackiego czynu, do śmiertelnej rozprawy.

Poza jedynym atutem wszystko sprzysięgało się przeciwko Napoleonowi.

Komendant straży przedniej, generał Montbrun, otrzymawszy rozkaz posłania szwa-

dronu polskich szwoleżerów z eskorty cesarskiej do natarcia na baterię nieprzyjacielską, zdziwił się niepomrotnie, gdzie tam działać może kawaleria, kiedy w wąwozie mieszczą się obok siebie co najwyżej cztery konie. Wobec niszczycielskiego ognia baterii nieprzyjacielskiej, pod której ostrzałem dostałby się cały oddział jazdy, Montbrun uznał rozkaz za niedorzeczny. Posłał adiutanta do naczelnego wodza z delikatną misją zwrócenia uwagi na niewykonalność nakazanego działania w danych warunkach. Na to właśnie czekał Napoleon.

— Co? niemożliwe? — uniósł się. — Mój generał, stary bałwan, mówi: niemożliwe? Posłać tam Polaków! *Laissez faire aux Polonais!* Osobiście byłem na miejscu, rozznałem sytuację i wiem, co rozkazuję!

Napoleon sfukał przybyłego łącznika z racji »nieprawdopodobieństwa« ofensywnych działań i za pośrednictwem adiutanta osobistego, hrabiego de Ségur, posłał bezpośrednio dowódcy szwadronu, kapitanowi Kozietulskiemu, rozkaz do natarcia konnicy.

Wsiadł następnie na konia, by osobiście asystować atakowi.

Ségur, porwany stanowczością cesarza i jeszcze bardziej zdecydowaniem Polaków, przyłączył się (na szarym końcu) do szarży szwadronu, jedyny spośród tysięcy Francuzów, czekających w napięciu na wynik szaleństwa.

Szwadron Koziętulskiego w kolumnie marszowej ruszył czwórkami naprzód pod górę.

— *En avant! Vive l'empereur!* — zawołali Polacy z zapalem.

Odważny porucznik Krzyżanowski z czterema żołnierzami popędził pierwszy na świetnym koniu, z okrzykiem:

— Naprzód, bracia! Niech żyje cesarz! Do armat!

— Do armat! Dalej!

— Szwadron dogoniłem — wspomina uczestnik szarży, który odznaczył się wybitnie,

»kiedy już był upadł do wąwozu i już był zabrał pierwsze piętro armat i pędził dalej bez najmniejszego zatrzymania się i bez żadnego porządku wojennego, którego dla cieśniny nawet był niepodobnym. Wszyscy pędzili wśród ogromnego ognia tak

kartaczowego z przodu, jak z lewej i z prawej strony wawozu i samego szczytu, z ręcznej broni przez piechotę na nas w tę cieśninę ciskanego, jeden drugiego przy odgłosie »Vive l'empereur« wyprzedzając, by najprędzej na szczyt wawozu się dostać i na nieprzyjaciela natrzeć. I tak lotem błyskawicy pędząc, padł uprzedzie pierwszy, drugi za pierwszym, trzeci za drugim, ale następujący nie uważając na poległych i ciągle spadających kolegów, już każde z czterech pięter z jego czterema armatami, rąbiąc w pędzie kanonierów, jedno po drugim zdobywał, nie pozwalając żadnej baterii, jak tylko raz wystrzelić. Które też ledwie co wystrzeliły, już były nasze«.

Między pierwszą i drugą pozycją hiszpańską poległo trzech szwoleżerów, z dowodzącym szarżą podporucznikiem Krzyżanowskim.

Pod Koziętulskim padł koń śmiertelnie ranny, przygniatając jeźdźca. Dowódca drugiej kompanii, kpt. Dziewanowski, objął z miejsca komendę i pomknął naprzód, zdobywając drugą baterię. Padł jednak przy następnych działach, ugodzony w kolano nabojem kartaczowym.

»Przecież resztki szwadronu nie zatrzymały się, ale tym samym pędem zdobyły i czwartą baterię«.

»Szwadron raz puściwszy się pod górę, komendy już nie potrzebował, Wszyscy tam bowiem, kapitan, porucznik, żołnierz jednym zapałem zagrzani, jeden i ten sam odgłos »En avant, vive l'empereur« wydając, jednym pędem, nie zważając ani na cofnięcie się Kozietulskiego, ani też na poległych i ciągle padających oficerów i kolegów, wawóz zdobyli i w pędzie samym armaty zdobywając, kanonierów, nie zatrzymując się, rąbali«.

»Postrzegłszy przy sobie kilku cheveaulgerów, a za sobą wachmistrza Sokołowskiego na kulejącym koniu, zawołałem: »Gdzie nasi?«. — Sokołowski odparł: »Poginęli!« — Wielu legło istotnie, drudzy konie potracili, inni zostali w tyle, inni jeszcze pędząc z góry, rozpiechli się na prawo i na lewo, gdyż był tu jaki taki przestwór między górami. Piechota hiszpańska z boku ciągle nas raziła, przy owej zaś baterii czwartej, poza nami stało jeszcze kilkunastu hiszpańskich kanonierów. Krzyknąłem: »Sokołowski, uderzmy na nich!« i uderzyliśmy z tą garstką.

Hiszpanie uciekli. Sokołowski powiększył swą śmiercią liczbę poległych w tym boju kolegów«.

Runął z koniem w końcu i ostatni oficer. Dopadli go Hiszpanie, aby go dobić.

»W tej chwili 9 razy pchnięto mnie bagnetem, obrano z pieniędzy, a konia zostawiono na mnie. Razy bagnetów ocknęły mnie z bólu i sprawiły,

zem się poczuł przy życiu i wrócił do zupełnej przytomności umysłu. Otoczony Hiszpanami, w obawie by mnie u nich los zwyczajny jeńców, to jest śmierć w mękach nie spotkała, nawet odetchnąć nie śmiałem. Wkrótce słyszeć się dały coraz głośniejsze bębny i okrzyki szaserów francuskich: »En avant, vive l'empereur« i zarazem ujrzałem naszych... Widoczna, że drugie szwadrony naszego pułku dopiero po uzięciu przez nas wąwozu były za nami wysłane«.

Siedem lub osiem minut trwała olśniewająca szarża. Z siedmiu oficerów tylko szef szwadronu wyszedł cało, unieruchomiony na wstępie podczas upadku z koniem.

Straty szwadronu wynosiły 81 zabitych i rannych. Prócz dział zdobyto sztandar i 200 jeńców.

»Wzięcie tej bramy Madrytu, w obóz hiszpański tuż za wąwozem stojący, taki paniczny przestraszył, że już nie myśleli o stawieniu czoła armii cesarza na drodze przez nas utorowanej, postępującej, ale wszyscy jak mogli bez najmniejszego porządku uciekli.

I tak wszystkie chorągwie, wszystkie armaty, wszystkie wozy amunicyjne, kasa, jednym słowem cały obóz prawie, bez wszelkiej walki w ręce Francuzów się dostał. Strach tylko zwyciężył Hi-

szpanów. który ich po przełamaniu tarczy, za którą się za niezwyciężonych mieli, przejął. Centralna Junta w Aranjuez, mająca się za ową tarczą za bezpieczną, teraz dopiero przestraszona uciekła.

Tak to cesarz bez żadnego prawie oporu do Madrytu wszedł».

Inne dwa szwadrony ułanów polskich gwardii, z szefem Łubieńskim na czele, wzięły udział w szybko i sprawnie przeprowadzonej pogoni za nieprzyjacielem. Ogółem wzięto 3000 jeńców i 4 chorągwie.

Z powodzenia szarży szwadronu Kozińskiego skorzystała wzorowo piechota francuska, która ruszyła naprzód zwartą kolumną. Opanowanie wąwozu kosztowało armię francuską niespełna 100 ludzi, czyli bardzo mało, jak na zdobycie wąwozu tak obronnego.

Pamiętnikarz jakiś nie może darować generałowi Łubieńskiemu, że w dwadzieścia kilka lat później pod Dębem Wielkim nie potrafił ścigać pokonanego nieprzyjaciela równie skutecznie, jak w służbie Napoleona i dodaje, że w Powstaniu Listopadowym chodziło o cele donioślejsze, niż o wejście do odległego Madrytu. Niezawodnie sugestia

osoby Napoleona zwiększała energię i ambicję Polaków.

Niezwyczajność Somo-Sierry polegała na tym, iż czynu dokonała garstka kawalerzystów, dzięki waleczności zgoła bezprzykładnej. Po raz pierwszy w dziejach wojskowości, czyn tak śmiały i decydujący, uwieńczony w pełni sukcesem, był udziałem jazdy. Tylko jeden Napoleon, nie licząc się z ceną krwi w dowodzeniu realności rzeczy nieprawdopodobnych i imponujący bezsporną słusnością i bezwzględny uzasadnieniem swego ryzykanctwa, wierzył że szarża Polaków się uda. Wśród głębszych motywów ryzyka, wystarczający mógł być ten, że nikt na miejscu Napoleona, przede wszystkim zaś nieprzyjaciół — nie pomyślałby o użyciu jazdy do walki w podobnych warunkach. Wielką szansę na rzecz wygranej stanowił moment wykorzystania przesądu ludzkiego, z tego stanowiska zwycięstwo było osobistą własnością »małego kaprała«. Gdyby genialna intuicja nie podyktowała słynnego rozkazu, wydanego Polakom, niczego by oni nie do-

konali, temu trudno zaprzeczyć. Ale odróżnić należy jeszcze dwa motywy przy rozważaniu działań: czy szarża pod Somo-Sierrą zaspokajała przede wszystkim prywatną fantazję, wodzowską nieograniczoną ambicję, czy też miała dla wykonawców istotny, głębszy sens polityczny.

Ponieważ czyn Polaków nie leżał bezwarunkowo w ich interesie, pozory świadczyć mogą, że pobudki bohaterstwa wyczerpywały się w ślepym posłuszeństwie, usłużności i uwielbieniu dobrych żołnierzy dla cesarza.

Otóż tak wygląda sprawa istotnie w świetle dalszych konsekwencji czynu Polaków. Nie przyniósł on spodziewanych rezultatów, nie tylko nie wyszedł ojczyźnie na dobre, ale nie zawierał elementarnego sensu ze stanowiska narodowego Polaków. Pytanie, czy zawierał wogóle jakąkolwiek treść polityczną, skoro wziąć pod uwagę, że Napoleon odniósł w Hiszpanii ostatecznie zwycięstwa wojskowe, jakich pragnął, natomiast nie przeprowadził konsekwentnie żadnej koncepcji politycznej.

Cytowany już biograf Napoleona nazywa okres jego przygód hiszpańskich »zenitem słońca«. I przypomnijmy, co postanawia wielki budowniczy Europy w krytycznej chwili, stanąwszy »u szczytu chwały«? Raptownie porzucił igraszki architektoniczne na półwyspie Iberyjskim (ściśle mówiąc: schował kielnię do zanadru, w przewidywaniu interwencji angielskiej, której się obawiał), albowiem

»najważniejsza stała się dla niego w tej chwili wi-
sząca w powietrzu wojna z Austrią. Opuszcza więc
Hiszpanię, zdając ją na łaskę marszałków, tracą-
cych podczas jego nieobecności przynajmniej po-
łowę wartości bojowej oraz brata Józefa, nie wy-
kazującego nigdy żadnych walorów«.

I po cóż wreszcie wszczął całą awanturę hiszpańską? Kiepsko przemyślał gmach »sy-
stemu kontynentalnego«, porzuciwszy prace
budowlane już w toku kładzenia fundamen-
tów. Lichymi okazały się wiązania imponu-
jącego gmachu! I po cóż tam przepadali nasi
czcigodni, bohaterscy ojcowie? I po co? —
powtórzmy dobitnie w odwadze niepokojące-
go pytania.

Doprowadziwszy »ciemnych chłopów« do rzekomego upokorzenia, Napoleon uznał kampanię w Hiszpanii za skończoną. Zosta-
wił bratu Józefowi »kodeks ramowy«, powi-
tany entuzjastycznie przez światłą współ-
czesną Europę.

— Czy to mało? — zauważą zwolennicy
geniuszu cesarza. — Owszem bardzo wiele,
sire, lecz co dalej? — Dbajcie o porządek
i spokój. Ja mam pilniejsze sprawy,...

Napoleon nie interesował się już niczym
więcej, gdyż śpieszył się, co koń wyskoczy,
na nowy plac boju — do Austrii.

— Przepróście także Polaków w moim
imieniu, że ich zostawiam. Powtórzcie im
moje uznanie. Niech dadzą nowego rekruta
i jadą ze mną. Uzyskają z powrotem Galicję
i Lodomerię, czego im dotychczas nie
obeцywałem.

Rozumie się, że i tam Polacy poszli, wy-
trwali w dążeniu do niepodległości. W ciągu
dwudziestu lat w służbie pod trójbarwnymi
sztandarami cesarstwa położyło życie nie
mniej niż pół miliona Polaków.

Dowodem całkowitego zaspokojenia ambicji osobistych Napoleona w Hiszpanii były pochwały, jakich nie skąpił wojsku polskiemu. Radość cesarza przechodziła wszelkie dotychczasowe granice. Gwoli sprawiedliwości przyznać należy, że obsypał Polaków obficie odznakami w postaci rozdanych krzyżów i dyplomów, starając się płacić bardzo uczciwie dywidendę od zebranych laurów. Rozdawnictwo zaszczytów jak gdyby wyczerpywało kwestię wspólnych praw autorских do dokonanego zbiorowo dzieła. Historia lubi przypisywać wyczyny bojowe niepodzielnie jednemu autorowi, bo wykonawcy narzuconych ról bywają tylko pionkami w otoczeniu głównego aktora dramatu. Przy podziale sławy likwiduje się ewentualne pretensje, czy ambicje osobiste, zwłaszcza gdy po szczęśliwie odbytej kampanii żołnierz otrzymuje niekiedy podarunki w postaci beneficjów; Kozietułski np. nagrodzony został w r. 1811 przez Napoleona za wielokrotne dowody męstwa herbem »*von Abdank*«, z dodatkiem donacji dóbr Syck w królestwie

Hanowerskim. Coprawda beneficjum okazało się w tym wypadku o wiele marniejsze od sławy. Znaczyło mniej więcej to samo, co uczynienie przez Hitlera podarunku dla rumuńskiego dowódcy Antonescu z dóbr na Kaukazie. Leon Koziatulski wszakże okazał się wiernym żołnierzem Napoleona, doznającym pełnej satysfakcji w obcej służbie. Licząc ślepo na przewodnictwo gwiazdy Napoleona, wyznawał wkrótce po Somo-Sierrze:

»Tym co mi najbardziej osładza wszystkie trudy, zdala od ojczyzny i rodziny, jest dzień, w którym w przytomności Napoleona okazaliśmy się godnymi imienia Polaków».

Było w tym wyznaniu zaufanie do osoby Napoleona nad miarę zasłużone. Uznając legendę wielkiego wodza bez zastrzeżeń, Polacy nie znali granic idealizmu. Tak, Napoleon mógł Polakom całkowicie zawierzyć.

Niestety, cesarz zawiódł brutalnie polskie nadzieje. Co więcej, w zupełności ich nie usprawiedliwiał. Nieobliczalny charakter jego nie był godzien ślepego zaufania i związania się z nim imienia polskiego z taką zapamiętałością. Wykorzystywał Polaków...

Za przykładem Napoleona Francuzi lekceważyli imię polskie. Pomniejszano udział Polaków w zwycięstwach sprzymierzonych, wydzierano im »nieśmiertelną sławę« jak na urągowisko.

Niewiadomo jakby dziś wyglądała chwała oręża polskiego na tle Somo-Sierry, gdyby świadkowie nie upomnieli się za życia o ciężko zarobioną sławę żołnierską, gdyby nie zapomniano wyprocesować zawczasu godnego miejsca w rodzinnym grobie na cmentarzu narodów, nie przeciwstawiano się fałszerstwom w kronikach czasu lub elementarzach sztuki wojskowej.

Adolf Thiers, opracowując 11-tomową »Historię konsulatu i cesarstwa«, osnutą na dokumentach urzędowych i źródłach archiwalnych, przedstawił czyn bojowy Somo-sierrczyków błędnie od a do zet. Naiwnie oparł się na biuletynie cesarskim, czyli Monitorze paryskim, przypisującym fałszywie nadzwyczajne natarcie jazdy generałom oraz oficerom francuskim. Wedle komunikatu z pola walki, liczba poległych wyniosła 8 szwo-

leżerów polskich; szarżę prowadził jakoby generał Montbrun, komendant szwoleżerów gwardii, czołowy kawalerzysta cesarstwa... W rzeczywistości nie był tenże tego dnia na polu walki obecny. Historyk i mąż stanu winien był nie tylko potraktować z pietyzmem dokumenty i obwieszczenia urzędowe, lecz nadto zbadać, czy odpowiadają prawdzie. Czy przysły niemiecki historyk Hitleriady oprze opis bitwy pod Stalingradem na komunikatach naczelnego dowództwa niemieckiego z r. 1943?

Powiada Thiers dosłownie:

»Świetny oficer jazdy gen. Montbrun wystąpił na czele szwoleżerów polskich, młodego wyborowego hufca, który Napoleon utworzył sobie w Warszawie, ażeby mieć w składzie gwardii coś ze wszystkich narodów i ze wszystkich strojów«(!).

Innymi słowy, wynajął sobie w Warszawie reprezentacyjną trupę teatralną, nie pytając reżysera dokładnie o trasę objazdową, ani o role lub bliższe warunki najmu.

»O naiwni Polacy, nie grzeszący tradycjami zbyt-niego posłuszeństwa dla własnych królów, a gotowi zawsze lecieć za obcym bożyszczem«, »na oślep

na śmierć dla sławy kraju, dla honoru pułku,
a zwłaszcza w Jego oczach»,
bo, jak świadczy gen. Załuski,
»zawsze był dobry i uprzejmy dla Polaków«.
Czy nie zbytek łaski, że raczył być džentel-
menem?

Poruszeni niepochlebnymi wyrażeniami Thiersa, weterani wojny 1809/09 r. zareago-
wali żywo po kilkudziesięciu latach auten-
tycznymi opisami, wynurzeniami, dowodami,
w słusznej obawie, czy historia przekaże
przyszłości i pokoleniom polskim w niewoli
— wierną prawdę. Posypały się dopiero
po kilkudziesięciu latach relacje polskie, jak
to było pod Somo-Sierrą i Saragossą.

Świadectwa polskie potwierdzone zostały
następnie zgodnie przez szereg pierwszo-
rzędnych świadków francuskich, z generałem
d'Aboncourt na czele. Przebrała się miara
bólu Polaków, którzy pod wpływem rozgo-
ryczenia milczeliby prawdopodobnie do ostat-
niego tchnienia na temat wspomnień dni
wielkiej chwały, gdyby nie uderzono w stru-
ny ambicji narodowej. Popłynęły gorzkie
skargi, wspomnienie pierwsze, drugie i ósme

— poprzez łyzy bólu — o pułku lekkokonnym polskim gwardii Napoleona I.

Biuletyn cesarski redagował adiutant hrabia Ségur, zamieszczając mechanicznie nazwisko generała Montbruna, zacnego zresztą Francuza, wyjątkowo podczas szarży nieobecnego. Hrabia Ségur *»maréchal des logis«* domu cesarskiego, nie omieszkiał również swego nazwiska przemycić między nacierającymi Polakami, podnosząc z uznaniem szczegół, iż

»odniósł kilka ran, z których jedną poważną«.

Jakkolwiek większa część świadków polskich stwierdza, że ani jednego Francuza wtedy w wąwozie nie widziano i największe wyraża zdziwienie, jakim sposobem Ségur,

»opisujący kampanię 1812 roku, przyczepił się do szarżujących« (płk. Niegolewski),

należy dać wiarę zeznaniom francuskim, że był to jedyny Francuz przypatrujący się czynnie brawurowemu dziełu Polaków. Był on właśnie tym, co zawiózł Koziatulskiemu wprost rozkaz szarży od Napoleona.

»Nie mogę zaprzeczyć udziału majora de Ségur

— mówi gen. Załuski —

bo istotnie tam był ranny, ale dlaczego i kiedy?
tego żaden z naszych oficerów nie wiedział».

Dość, że właśnie nazwisko tego jedyne-
go Francuza doczekało się wyróżnienia w ofi-
cjalnym rozkazie dziennym, obok wzmianki
o poległym kapitanie Dziewanowskim.

»Iluż to Francuzów nie szczyliło się, że jako
ochotnicy z nami szarżowali!«

— wspomina bohaterski Niegolewski. —
A Załuski powiada:

»To mi tylko dobrze wiadomo, że po tej rozprawie
każdy sztabowy francuski oficer się chlubił, jakoby
do tego natarcia był należał... i że ja sam na swoje
uszy słyszałem oficerów mówiących: — Jeżeli się
marszałek o mnie pytać będzie, powiedz mu że
jestem z Polakami. — Czyn jednego szwadronika
polskiego przecie w okamgnieniu powodując uciecz-
kę całej armii hiszpańskiej, obudził żywe uniesie-
nie we wszystkich obecnych Francuzach, najstar-
szych żołnierzach; cała piechota marszałka Victora
wykrzykiwała: — Niech żyją Polacy!, a oficerowie
będący na koniach, nie mogli się dość nacieszyć
towarzyszeniem nam w szeregach«.

Mała garstka szaleńców przemieniła się w nie-
przeliczoną armię... niczem pierwsza brygada

Legionów Piłsudskiego z pierwszej wojny światowej. rozmnożona po kilkunastu latach do monstrualnych rozmiarów.

Entuzjazm ogólny zrodził się z prawdziwego zadowolenia Napoleona. Serce jego nie unosiło się nigdy głębszym wzruszeniem niż pod Somo-Sierą, aż się żołnierze francuscy nadziwić nie mogli. Cudowna szarża podniosła na duchu nie tylko Bonapartego, dodając mu skrzydeł do ramion, ale wywarła czarodziejski wpływ na całość wojska francuskiego.

»Każden na widok każdego z naszych porwany entuzjazmem przystępował do niego z uszanowaniem, winszując mu waleczności Polaków«.

A złożywszy powinszowania, Francuzi jęli zarazem sobie przywłaszczać imponujące zwycięstwo. Niepojętość Thiersa, w obawie by prawdziwe oddanie szarży nie wydało się bajeczką, jako też w niezrozumieniu, że szwadron mimo morderczego ognia nie zatrzymał się w wąwozie, doszła do tego, że ujął Polakom heroizmu i przypisał sukces kawalerii bezsensownie kilku szwadronom.

»Niczym zdawały się być starym grenadierom gwardii, w porównaniu z naszą szarżą, okrzyczane cuda waleczności, których świadkami byli. Zdumieni, starzy i dumni ci wojownicy, spełniali na widok naszych przy danej sposobności kubki na cześć cheveau-legerów. Nie tylko pojedyncze z osobna naszym oddawano hołdy, ale sam cesarz oświadczył, że Polacy wykonali »charge brillante, s'il en fut jamais«... Chcąc czynowi nadzwyczajnemu hołd odpowiedni oddać, kazał pułkowi naszemu 1. grudnia w szyku bojowym stanąć, zatrzeć »un demi-ban« i uchyliwszy kapelusza ogłosił pułk za najmężniejszy, salutując go słowami: »honneur aux braves des braves«.

Cześć najdzielniejszym z dzielnych!

»Niemniej go uczcił nazajutrz korpus marszałka Victora, który widząc pułk nasz obok siebie przechodzący, bez żadnego rozkazu się uszykował i trzy razy wykrzyknął: »honneur aux braves!«

Pochlebiają sobie nadmiernie Francuzi w swoich relacjach o Somo-Sierrze, że Bonaparte uznał Polaków za godnych do należenia do jego gwardii. Czyżby to miało oznaczać, że na tym kończyła się ich rola i że potwierdzenie »zaszczytu« było najwyższym Polaków marzeniem? że o nic więcej szlachcice polscy nie zabiegali?

Powiada Thiers w innym miejscu, z racji chlubnego odznaczenia się Polaków pod Wagram, że

»byli to ci sami Polacy, którzy początek edukacji wojskowej w szkole francuskiej odebrali«. Bodaj by »historyk z czołem więcej niż wytartym... mający bezczelność stawiać nas na równi z Mamelukami«, jak oburza się nań pułkownik Niegolewski, poduczył się nieco znajomości rzeczy polskich!

»Śmie historyk ten mimo naszej ciągłej walki z wrogami, którzy kraj nasz rozszarpali, mimo tylu świetnych czynów waleczności w służbie francuskiej dokonanych, z którą orła naszego połączyliśmy, w przekonaniu że walczy w imię nowego społeczeństwa a tym samym niszczy zasady, które nas zamordowały, zarzucać nam gnuśność i zniewieściałość«.

»I czyni to właśnie opisując kampanię 1809 r., w której Poniatowski z małą garstką Polaków bez wszelkiej pomocy Francuzów, cudów waleczności naprzeciw wiele liczniejszemu nieprzyjacielowi dokazywał. W tym to roku książę Józef z swymi 9 tysiącami nie tylko bronił granic nowo utworzonego Księstwa Warszawskiego, ale zdobył on tą małą garstką całą Galicję i tak bez pomocy Francuzów odebrał jednemu z przywłaszczycieli Polski łup jego zbrodniczy, a genialnymi swymi planami

z walecznością bohatera wykonanymi, trzymał arcyksięcia Ferdynanda z jego 38 tysiącami Austriaków tak dalece w ciągłych karbach, że nie mógł iść w pomoc arcyksięciu Karolowi pod Wagram przeciw Napoleonowi. Kto wie jaki by był wynik batalii tej, której losy i tak się już bardzo ważyły, gdyby tam były walczyły i owe przez księcia Józefa wstrzymane 38.000 arcyksięcia Ferdynanda. Z pewnością byłaby batalia pod Wagram, którą Thiers za tak stanowczą w historii cesarstwa uważa, inne skutki dla cesarza za sobą pociągnęła.

»Zaiste nie wiedzieć czy chciał historyk ten usprawiedliwić, że cesarz nie tylko o księciu Józefie i o Księstwie przez siebie utworzonym zapomniał i bez wszelkiej pomocy zostawił, ale że nie przyłączył kraju Galicji przez księcia Józefa tylko Polakami zdobytego, do Księstwa Warszawskiego, lub też czy zapomniał historyk ten o tym, że Polacy już przed jego edukacją francuską walczyć umieli, że ich wodzowie inne państwa od upadku ratowali«...

Nie wiedział o tym Mr. A. Thiers. Również nie miał pojęcia, że słynną szarżę wykonał szwadron młodziutkich patriotów polskich,

»nie wyćwiczonych w szkołach wojennych, (który) kilka miesięcy przedtem wcale nawet duchem żołnierskim nie ogarnięty, nie tylko jeszcze w ogniu nie był, ale nawet zwyczajnych obrotów musztry nie umiał«.

Legendarna edukacja francuska miała tak znikomy wpływ na sukcesy polskie, że lepiejby jej apologeta zrobił, nie wspomniawszy o niej jednym słowem. Ograniczała się ona do szeregu elementarnych podoficerskich pouczeń, bez których Napoleon uznał Polaków także za godnych do należenia do gwardii.

Krótko przed wymarszem do Hiszpanii

»cesarz kazał nam po raz pierwszy wystąpić w parady na przegląd. Szwadron stanął w ogrodzie »en bataille«. Kilka chwil potem przeszedł cesarz przyodziany w mundur grenadierów pieszych gwardii w trzewikach i pończochach, na czele orszaku wielu generałów, a między innymi i generała Du Rosnel, koniuszego. Major Delaitre, Francuz, był naszego szwadronu dowódcą. Chcąc się przed cesarzem popisać, zakomenderował swym bardzo słabym głosem jakiś zwrot. My mało znając komendy jeszcze francuskiej, i nie dosłyszawszy komenderującego, obróciliśmy jedni w lewo, drudzy w prawo i okazała się wielka mieszanina. Cesarz splunął, ale bez okazania gniewu, a potem rzekłszy: »Ci młodzi ludzie nic nie umieją«, przywołał du Rosnela, i oddał mu nas na naukę musztry, by od samego początku szkołę kawalerii z nami zaczął. Du Rosnel przywiązawszy się wkrótce do nas, z wielką gorliwością prawie podoficera wywiązał się ze

swego obowiązku. Z każdym niemal żołnierzem z osobna zaczynał: jak konia kulbaczyć, jak się pojedyncze przybory po francusku nazywają. W kilka tygodni po owej sławnej odbytej rewii, daliśmy jednak cesarzowi sposobność powzięcia lepszego mniemania o nas«.

Paradoksalne jest podkreślanie przez monografistów Somo-Sierry, cudzoziemskich pisarzy wojskowych i oczywiście powtarzanie za obcymi w różnych naszych popularnych »opracowaniach historycznych« — zdania, że pułk polskich szwoleżerów, utworzony w Księstwie Warszawskim, składał się z wyjątkowo inteligentnych synów obywateli ziemskich, arcywyborowej młodzieży, jakoby najurodziwszych kwiatów z polskiej ziemi... Jeden argument obala sugestię wyjątkowości zjawiska polskiej dzielności: Oto Napoleon wyznaczył kandydatom do gwardii przybocznej cenzus majątkowy, a nie wykształcenia, dopuszczając do szeregów tylko właścicieli ziemskich w wieku 18—40 lat, zdolnych umundurować się i wyekwipować własnym kosztem. Miara walorów selekcji duchowej była więc co najmniej względna.

Inna rzecz, że szlachta polska mogła istotnie zadziwić Francuzów przymiotami umysłu.

Jest w literaturze napoleońskiej typowy obrazek, świadczący mocniej o dziarskości i wigorze młodzieży polskiej, przeciwstawiający ją zarazem francuskiej degeneracji.

»Jakkolwiek żołnierze nie byli bardzo zadowoleni z dalekiego pochodu do kraju, przeciw któremu bić się nieli Bóg wie za co i o co, jednakże przy lada sposobności bawili się wesoło, może nawet za wesoło«.

Choć tam Francuzi nigdy nie odznacжали się gościnnością, miasto Chatelreau wyprawilo

»bal dla korpusu oficerów, tak piechoty jak i szwoleżerów. Wszystkie kobiety i dziewczęta z miasta wzięły w nim udział. Tańczono w cieniście parku do późna w nocy. Następstwa tej zabawy były łatwe do przewidzenia«...

W rok potem mer z Angoulême zgłosił w Hiszpanii pretensje o pomoc finansową dla nowokreowanej kolonii polskiej.

»Mieszkańcy Chatelreau poskarżyli się u samego Napoleona, że szwoleżerzy polscy zbałamucili im dziewczęta. Ci wypierali się uroczyście, że to nie oni, tylko piechota. Napoleon jednak odrzekł bardzo rozumnie, iż jeżeli się co stało, kobiety miasta Cha-

telreau same temu są winne, bo nie powinny chodzić za żołnierzami, za ich muzyką po nocy».

Młodzież polska nie miała pretensji do wielkich talentów wojskowych. Ale gotowa była zawsze do największych poświęceń, z myślą o Polsce. I ta, która poniewierała się po obcych ziemiach, górowała nad patriotami pozostałymi w kraju tylko tym, że poświęcenie dla idei wiodło ją dalej w przestrzeni.

„Po całej prawie ziemi pod obcymi znaki,

„Dla swego tylko kraju walczył żołnierz taki”...
brzmiał trafny dwuwiersz pod ryciną Verneta,
»wystawiającą polskiego cheveau-legera na koniu«, opętanego ową niezgasłą ideą, »którą cudzoziemiec cieszący się swobodą ledwie objąć zdoła«.

«My tylko Polacy tę jak cud, prawie niepojętą szarżę mogliśmy wykonać, my też tylko ją teraz pojąć możemy, my których miłość ojczyzny nie tylko na Sierę, ale i do Nowego Świata zapędziła, w nadziei że walcząc pod Napoleonem, uważając go za zesłańca, którego nieba nam dla przywrócenia ojczyzny dały, ojczyznę z jarzma wyswobodzimy i na wrogach naszycli za ich na nas dokonaną zbrodnię zemścimy się, a światu całemu, który bezkarnie na morderstwo nasze zezwolił, dowód naszej żywotnej siły damy«.

»O ileż zapal nasz musiał być uniesiony, kiedyśmy szarżę tę, do tego pod okiem cesarza, tego mnie-

WSPOMNIENIE SOMO-SIERRY

manego zesłańca nieba i jego orszaku, tuż przy wąwozie na nas przypatrującego się, wykonali. Każdy przejeżdżający koło niego z Polaków pojął, że tu chodzi nie tylko o jego własny honor, nie tylko o honor szwadronu, chrzest ognia pod okiem cesarza odbierającego, nie tylko o honor pułku, ale o honor ojczyzny, dla której wyjarzmienia orzeł biały z orłem cesarskim sojusz zawarł».

Karny i posłuszny okrzyk »*Vive l'empereur!*« niezrozumiany przez Thiersa, stanowił ze strony Polaków chwyt propagandowy, który miał zaagitować cesarza, zjednać sobie na stałe jego serce. Podobno puls Napoleona nie bił nigdy żywiej, niż w okresie bitwy pod Somo-Sierą. Ale serce nie stanowi czynnika w polityce międzynarodowej tak trwałego i ważkiego, jak się to zawsze patriotom polskim wydawało. Inaczej mówiąc: nie ma nic bardziej zawodnego w polityce międzynarodowej od serca. Na dalszą metę chwyt ów zawiódł sromotnie.

Magiczny wpływ geniuszu polegał na tym, że »umiał z każdej danej pory korzystać, by do siebie żołnierzy przywiązać, powziąć do niego zaufanie, że nadziei naszych nie zawiedzie i że wkrótce walcząc pod nim ojczyznę oswobodzoną powitamy«.

»Ta to miłość ojczyzny, nasz naród nad inne cechująca, przewodniczyła całej szarzy, lotem błyskawicy wykonanej... Była jedyną naszą komendą. W jej to służbie każdy z nas gotów był cudów waleczności dokazywać, by czym prędzej świadcząc cesarzowi o sile narodu polskiego, wpoić w niego uszanowanie dla orła białego, w którego imieniu Polacy po wszystkich krańcach świata swoje zwycięskie sztandary jak tu na Somo-Sierrze zatykali«.

Wśród straszliwych cierpień skonał, zniesiony z pobojowiska, dowódca kompanii kapitan Dziewanowski.

»Cześć niech będzie mężowi, który mężnie walczył. Nigdy on nad losem swym w ostatnich chwilach nie ubolewał, ale przeciwnie cieszył się, że się Polacy sławą okryli i że czyn ich ogólnie uwielbiano; cieszył się nadzieją, że tak walcząc wkrótce ojczyznę oswobodzimy i wolną powitamy. Niestety! nadzieje jego i z nim całego narodu nie zostały skutkiem pożądanym uwieńczone«.

»Krwia polską, po wszystkich prawie krańcach świata przelaną, nie oswobodziła ojczyzny. Któż nas może przecież za to winować, żeśmy powinność naszą pełnili w nadziei, że z walki nowego światającego świata ze starym świętość naszej sprawy uznana zostanie, że niszcząc starą budowę społeczeństwa, zniszczymy i zasady, na których spoczywała, a które bezkarnie na morderstwo nasze

zezwoili. Ten to tylko a nie inny był powód naszego zapalu w walce z tylu narodami, jak np. Hiszpanami, którzy mimo, że w świętej sprawie, bo w sprawie swej samodzielności walczyli, zawsze bronili zasad, na których ich państwo spoczywało, a przecież tylko ze zniszczenia tej podstawy starego świata we wszystkich państwach europejskich mogliśmy się oswobodzenia naszej ojczyzny spodziewać. Jakżeżby bowiem mógł być nowy porządek bez wskrzeszenia Polski w państwach europejskich na podstawie moralności wprowadzony? Kto nas dlatego chce słusznie osądzić, niechaj nie sądzi jak mordercy nasi, którzy powodu złączenia się naszego z cesarzem walczącym nieomal przeciw całej Europie i nowy w niej porządek zaprowadzającym, pojąć nie chcą».

Za wiele śmiał żądać Andrzej Niegolewski.

Jeżeli uchybiano elementarnemu obowiązkowi opieki nad rannymi, to cóż mówić o znaczeniu musztry i pielęgnowaniu morale? Co warta była doraźna dyscyplina w armii napoleońskiej? Oplakany stan, w jakim zostawiono rannych przez szereg dni,

»rozemieszczonych po kilkunastu w różnych domach hiszpańskiej wioski, opuszczonych od mieszkańców«, nie wróżył serdeczniejszego zrozumienia w sytuacjach dni powszednich.

»Ranni, jedni mniej, drudzy więcej, złożeni w domach, w których gdyby się byli znajdowali mieszkający, nie jedenby był litością zbudzony, w gorące leżącym, do gaszenia pragnienia przynajmniej wody podał i chociaż garść słomy pod niego podrzucił. Tam przecież nikogo oprócz *le service d'ambulance* nie było. Dozorcy zaś sami opici zrabowanym winem na gołym strychu nas bez litości złożyli, materace bowiem w ambulansach się znajdujące nie starczyły dla wszystkich«.

Dziwne, że Polacy nie przyzwyczaili się do zimna i oschłości serc sojuszników co najmniej w zwyczajnych stosunkach i rachunkach. Ależ to jedynie pradziadowie nasi roztkliwiali się nad dolą bliźniego, na przykład pod Grunwaldem, gdzie poza swoimi braćmi opiekowali się co rychlej wszystkimi rannymi spośród szeregów nieprzejednanego śmiertelnego wroga. Zapominali się w samarytańskim poświęceniu i zaniedbywali ważniejszej akcji, energicznej pogoni za niedobitkami nieprzyjaciela, stokroć ważniejszej od zwycięstwa na polu bitwy. Napoleon natomiast nie poddawał się wzruszeniu, nie miał na to czasu: zsiadał z konia na trasie marszu, by przypiąć krzyż legii honorowej do piersi

rannego żołnierza i jechał dalej. W danym razie śpieszył się zrywać owoce mitycznego męstwa Polaków, śp. kapitana Dziewanowskiego i jego towarzyszy. Napoleon był mistrzem pogoni i pogromu...

Co dalej kierowało Francuzami po pogromie Hiszpanów? Sprzymierzeńcy nasi posiadali blade pojęcie o obszarach położonych za rzeką Ebro lub za Renem. Jak notuje zasłużony weteran walk hiszpańskich, gen. Załuski:

»Naród ten wielki, zajęty sobą samym, nie rozróżnia nawet położenia innych ludów... wszystko co leży za Renem, ma za obce, i sądzi być wszystko Niemcami: *Allemagne*; może to teraz skutkiem tułactwa tylu Polaków jest inaczej, ale tak było w r. 1806, gdy Francuzi dziwili się w Wielkopolsce, że wieśniacy nie rozumieli po niemiecku... Tak było jeszcze kiedyśmy w latach 1807, 08, 09 i 10 przez kraje niemieckie i francuskie przechodzili kilkakrotnie do Hiszpanii«.

Przygotowania do kampanii hiszpańskiej ani znajomości »wrogiego« narodu u napoleończyków nie było. Wprawdzie geniusze stoją niekiedy w ignorancji faktycznej wiedzy o obcych narodach ponad tłumem swo-

ich ziomków, jednak mentalność tychże rodaków ma zawsze zniewalający, podświadomy i wybitny wpływ na decyzje przodującej jednostki. Postanowienia jej liczą się poważnie z mentalnością szerokich mas. Ani wojna hiszpańska, pełna niepowodzeń, ani sprawa polska w narodzie francuskim nie była popularna.

Zakończenie przesmutnego rozdziału naszych XIX-wiecznych dziejów wojskowych winniśmy teraz dopełnić opisem drugiego oblężenia Saragossy. Słynne oblężenie rozpoczęło się w końcu grudnia 1808 i skończyło się poddaniem się miasta 21. lutego 1809.





ie podobna nam zapuszczać się w te nużące jednostajnością i cuchnące obficie przelewana krwią szczegóły» – otrząsa się historyk walk w Hiszpanii, ograniczając do minimum babranie się we krwi nieulekłych straceńców.

»Zawsze tam gdzie był najkrwawszy bój, gdzie groziły wielkie straty, gdzie trzeba było niepospolitego męstwa i znacznych ofiar, zawsze tam Francuzi ślali biednych polskich żołnierzy«.

D. 23 listopada Polacy rostrzygnęli bitwę o most pod Tudelą.

»Polacy ucieszeni, że im pierwszy krok dano w rozprawie, zapowiadającej się z najliczniejszą w Hiszpanii armią, ruszyli krokiem szturmowym, wdarli się na najbliższe wzgórze, wyrzuciwszy zeń bagnetem przeciwnika. Ale Hiszpanie osadzeni na innych

wzgórzach, jak również dywizja stojąca za rzeką, rozpoczęła straszny ogień, który w okamgnieniu wydarł z szeregów dzielnego batalionu 70 osób w zabitych i rannych, a między tymi ostatnimi pułkownika Kąsinowskiego i kapitana Mędrzykowskiego. Mimo to Polacy przedarli się aż do mostu. Hiszpanie widząc to, zagrożeni nadto z prawej strony przez drugi batalion polski, który dochodził już do mostu, śpiesznie opuścili pozycję. Zamieszanie poczęło się w ich szeregach, tak że kilka rdzennych ataków francuskich spowodowało zupełną rozsypkę armii hiszpańskiej. 3.000 trupów, 30 armat, mnóstwo jeńców, było owocem tego zwycięstwa, które słusznie Napoleon policzył do 14 najpiękniejszych dni swej nieśmiertelnej epopei. Chłuba tego dnia spada w zupełności na dzielny batalion drugiego pułku Legii. To też Kąsinowski mianowany został baronem cesarstwa francuskiego, a do starego herbu swego przybrał wieżę, na pamiątkę wieży Maurów, którą wziął pod Tudelą.

Jeszcze niejedno baronostwo i niejedna wieża z kości słoniowej przypadły w udziale walecznym Polakom na obcej ziemi.

Po jakimś szturmie, w którym pierwszy pułk Legii nadwiślańskiej zdumiewał odwagą wszystkich Francuzów, wywołując pochwały generałów francuskich w raportach do cesarza,

»pewien grenadier francuski zbliżywszy się do Polaków, pytał zdziwiony: — Jakże z tymi ludźmi kraj wasz mógł utracić istnienie?

Milczenie zapadło między Polakami na to pytanie proste i rozumne«.

Legia nadwiślańska ruszyła dalej na podbój losu sprzęgniętego nierozdzielnie z podtrzymującym płomienne nadzieje Bonapartem, w imię konsekwentnego postępowania i dobrowolnie przyjętego obowiązku. Napoleon rozkazywał zdobyć Saragossę za każdą cenę!

Przewyciężmy uczucie wstrętu nieukrywane przez historyka walk i sięgnijmy wprost do wstrząsających wyznań generała Józefa Mrozińskiego, świadka oblężenia Saragossy, »zawsze strasznej a teraz straszniejszej«.

Hiszpanie wykorzystali doskonale porę na wzmocnienie obrony twierdzy. Otoczywszy miejscowość potężnym murem, ufortyfikowali zamek i klasztor, zburzyli domostwa na zewnątrz muru, wycięli doszczętu drzewa oliwne i ogrody, mogące służyć nieprzyjacielowi za ochronę, przecięto ulice barykadami, we wszystkich domach wykuto strzelnice, połączono piwnice poszczególnych do-

mów, zamurowano drzwi i okna parterowych mieszkań, pobudowano schrony publiczne na placach i ulicach; nagromadzono zapasy broni i żywności, obliczone na półroczną wytrzymałość ludności cywilnej oraz liczego garnizonu.

Po bitwie pod Tudelą załoga Saragossy wzrosła do 35.000 żołnierzy.

Okoliczni mieszkańcy schronili się do warowni. Mimo opustoszałych wiosek, wojsko francuskie i polskie było nękanie na każdym kroku.

»Oddziały wysyłane musiały czasem przez ciąg drogi odstrzeliwać się, ginęły lub były zabierane. Podporucznik pułku pierwszego Wiński, chory, niesiony do lazaretu z obozu, był w drodze zabity; porucznik tegoż pułku Wroński wysłany w kilkadziesiąt ludzi z obozu nad Xalon po żywność, z całym oddziałem nielitościwie zamordowany. Nie walcząc traciliśmy codziennie ludzi«,

Odpowiadano najsroższymi represjami, sypały się kary śmierci.

»Wprawdzie palono wioski... ale środki te niszczyć kraj, nie uśmiercały zaciętości mieszkańców. Jątrzyła się tylko coraz bardziej z obu stron

chęć zemsty. Cała wojna brała postać okropnego pustoszenia».

Klimat trapił legionistów ciągle chłodnymi wiatrami i ulewnymi deszczami.

»Najgroźniejszym jednak był głód dla armii naszej. Żołnierz był po kilkakroć na pół racji chleba (?), mięsa brakło zupełnie. Mieszkańcy chroniąc się do Saragossy, przed jej opasaniem, unieśli żywność z sobą... Od czasu kiedy na oblężenie 50-tysięcznej załogi zostało nas 22.000, było niepodobieństwem wysyłać oddziały, a konwoje wyprawiane częstokroć zabierał nieprzyjaciel... To co kończy zwykle wszystkie oblężenia, nie było dostateczne na pokonanie Saragossan. W pierwszym już oblężeniu, po dwudniowej wśród miasta najkrwawszej walce, nieprzyjaciel przez osiem dni zostawał z nami na jednej ulicy, nie dopuścił nam dalej postąpić; on zajmował jedną jej stronę, my na drugiej kilka domów dzierżyliśmy. Czegóż się teraz trzeba było spodziewać, kiedy oblężeni wszystkie poczynili przygotowania, aby bronić każdego domu osobno».

»Oblegający już byli w mieście, nadziei posiłków już prawie nie mieli Saragossanie... A przecież Saragossanie zostali niewzruszeui. Stan ten nie-szczęśny nie tylko nie ugiął ich umysłu, lecz owszem zwiększał zaciętość i rozpacz niezłomnych tych obywateli; nie wątpili oni o swej zgubie, ale łatwiej się ze śmiercią oswajali, niż z wyobrażeniem

uległości obcemu. Poprzysięgli zagrzebać się pod gruzami miasta, odrzucili wszystkie propozycje kapitulacji.

»Bombardowanie trwało już od trzech tygodni. Zaraza w mieście szerzyła się straszliwie. Około 350 ludzi umierało codziennie, nie licząc tych, którzy ginęli od przypadków wojny. Lazarety i mnóstwo w tym celu dodanych jeszcze domów, były przepełnione. Ryż był jedynym środkiem dla utrzymania chorych, a słoma całą ich pościela. Dla braku lekarstwa i przez zepsute powietrze, najłżejsza rana w kilka dni zmieniała się w gangrenę; każdy skaleczony widział pewną i okropną śmierć dla siebie. Zabrakło już ziemi na chowanie trupów, kopano obszerne rowy po ulicach i w dziedzińcach, do nich zwożono je sprzed kościołów, gdzie je pozostała rodzina składać była winna. Stosami leżały przed każdym kościołem obwinięte tylko w prześcieradła trupy; często rozszarpane i rozrzucone przez bomby, sprawiały najokropniejszy widok.

»Kto się użalał na cierpienia, był zdrajcą, a samo oskarżenie było dowodem (przeciw niemu)...

»...Obwarowanie domów, w których nieprzyjacieli zagrzebać się niezlomnie postanowił, utworzenie z każdego osobnej forteczki i wysypane baterie po ulicach, czyniły niepodobnym zajęcie przez szturm miasta; niszczałyby była cała armia nasza, nie zdobywszy nawet części onego. Postanowiono więc brać dom po domu»...

«Tak to zapal Saragossan wzrastał codziennie. Widać było że działali ludzie, którymi bez różnicy powołania i stanu, jedne środki i zarówno silnie władać mogły; były nimi: religia i niezłomna chęć niepodległości. Uczucia te zamieniły każdego obrońcę Saragossy w człowieka, że tak powiem, przez się działającego; przykład niestety! zbyt rzadki, a przecież jeden tylko godny człowieka. Nie wódza niezłomne postanowienie, nie odrzucane ciągle wszelkie propozycje kapitulacji, nie te nawet ogromne ofiary, które Saragossa poniosła, stanowią szczególnieśną cechę tej nadzwyczajnej obrony; jest nią stały, niezachwiany umysł każdego w szczególności mieszkańca, jest nią owo samowolne ich poświęcenie się».

»W działaniach wojennych sztuka i geniusz zwracają powszechnie najmocniej uwagę naszą. Kto obronę Saragossy rozważa, nie szukając ich, oddaje hołd podziwieniu mieszkańcom tego bohaterskiego miasta; przyznaje to wszystkim, co nie mogło być dziełem jednego; nie bada imion wodzów, ale chciałby całe to szacowne poznać stowarzyszenie».

»Walczyli Saragossanie nie tylko o pojedyncze domy, ale o piętra, o każdą izbę nawet. Zakonnicy pokazywali się po ulicach z pałaszem przypasany na wierzchu habitu; jednych zachęcali do walki, drugich do pracy około baterii. Sami czynnymi, robili proch i ładunki, roznosili je gdzie potrzeba wymagała. Wśród ognia dawali pomoc duchową,

a częstokroć nie tylko słowy, ale także własnym przykładem zagrzewali żołnierza«.

»Kobiety nawet pomagały do obrony. W jednej odezwie generał Palafox zachęca je, aby naśladowały męstwo i umysł marsowy dawnych Amazonek. Roznosiły napój i ładunki dla walczących, w których liczbie mężów swych lub też synów znajdowały. Zdarzało się, że niewiasta po zabitym przy boku mężu porывała broń, i usiłowała pomóc się jego śmierci. Niektóre otrzymały nagrody wojskowe«.

»Nie tylko kobiety z pospólstwa mieszały się pomiędzy wojowników. Czasem młoda, zgrabnie przybrana piękność, niesilną swą ręką dźwigając karabin wojskowy, śpieszyła do boju. Oficerowie znajdowali przykład w męstwie takich kobiecych wojowników i nową pobudkę w ich obecności«.

Polacy nie ustępowali niegasnącym zapalem w walce. Jak zwykle w spotkaniach wręcz, siła ich woli rosła stokrotnie.

»Zdobывая tak pojedyncze domy, potrzeba było prawie o każdy kilka razy toczyć walkę: pierwszą, aby się zbliżyć do domu i wedrzeć się wewnątrz, drugą, aby się w nim usadowić; potem musiano zdobywać piętro po piętrze i dostać się aż do dachu i piwnic. Kiedy to się nie udało, musiano dom miną wysadzić i znowu trzeba było na nowo walczyć, aby opanować szczątki.

»Na powierzchni niszczyły się obie strony, aby zając gruzы nędznego jakiego domu, pod ziemią ryły się obie, aby się na powietrze wysadzić, a mieszkańcy podpalali szczątki własnych domów, które musieli opuszczać.

»Stosy niezliczone trupów, niepożrebianych nawet, leżały po domach i dziedzińcach, które zdobywano. Przecież po takiej zdobyczy, nową krwawą walkę robić potrzeba było o przyległą lichą jaką zagrodę, która znowu podobnież trupami natłoczona była. Zdawało się, że walczyły tylko o cmentarz.

»Dodamy tu jednak, że całe wojsko francuskie przyznawało Polakom, iż wytrwałość ich męstwa nieprędko zachwiewać się poczęła. Oficerowie francuscy czuli radość, gdy znajdowali sposobność mówienia o tym z Polakami. Oficerowie od inżynierów, do wszystkich prac tej wojny, radzi widzieli oddziały żołnierzy polskich. Spostrzec wprawdzie można było na każdym wycieńczeniu, nędzę i niedostatek, ale duch był po większej części ochoczy. Generałowie francuscy chodzili także pomiędzy warty polskie, rozmawiali, okazując w całym postępowaniu swoim z żołnierzami udział czucia, jakie się zwykle wynurza dla ludzi, których nieszczęsne położenie nas obchodzi. Przy różnych okolicznościach, później nawet, wychwalali ich stałość, między innymi generał inżynierów Haxo, który natenczas w stopniu jeszcze podpułkownika dowodził atakiem prawym, powtarzał zawsze, że

OD SAN DOMINGO DO CASSINO

z całej armii oblegającej Saragossę, Polacy zaczęli najpóźniej w wytrwałości ostygać».

Gdyby wolno było liczyć ofiary, które się czynią dla kraju swojego, zapewne dzień poddania się Saragossy byłby w tej szczupłej ich liczbie, które dla Polaka dotkliwe były.

Nigdy nie miała przed oczami swymi tak okropnego widoku garstka ta z ziemi rodzinnej usuniętych wojowników, którzy walczyli ciągle z narodami zupełnie obcymi dla swego kraju, bez nadziei prawie powrotu do niego. Nie jak inni szczęśliwsi, w sprawie własnego narodu, ale w sprawie obcej, dla tego jedynie, by dopiero kiedyś wolno im było, a przynajmniej ich ziomkom, walczyć o odzyskanie ziemi ojczystej. Nigdy, mówię, los nie dotknął ich tak ciężko jak na widok tego nieszczęsnego miasta.

Miejsca, w których miny poczyniły zniszczenia, okryte były rozszarpanymi członkami ciał ludzkich. Domy, którym miny nie szkodziły, zrujnowało, a wiele nawet powaliło 42-dniowe bombardowanie, przez który czas 16.000 bomb wypotrzebowano.

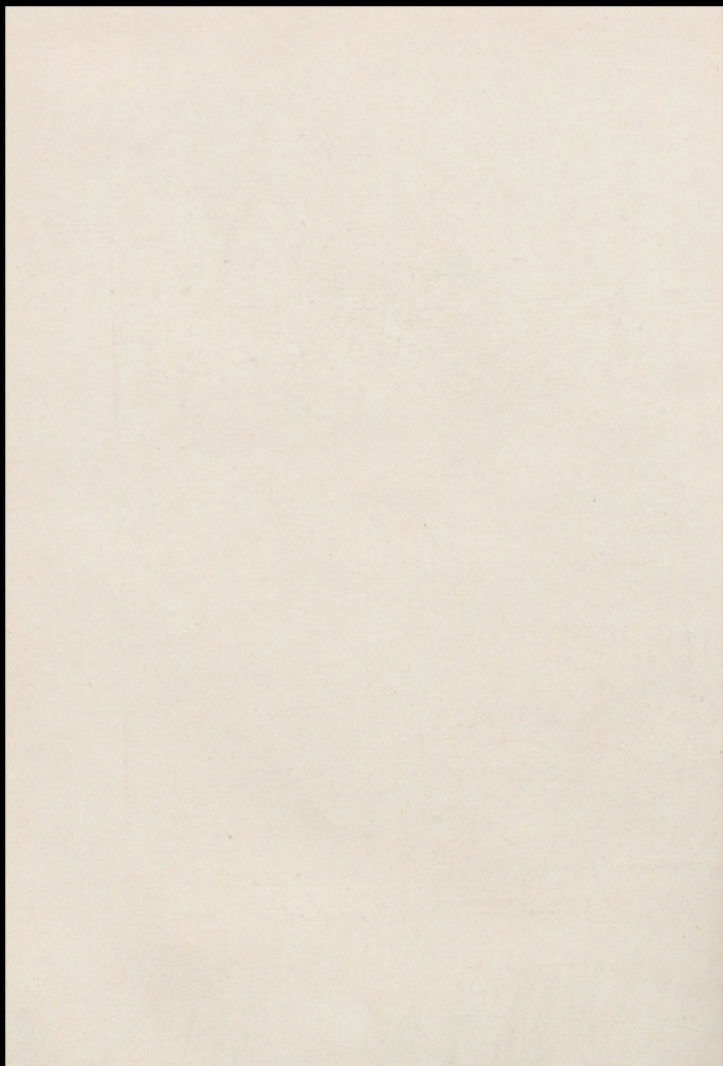
W przeciągu 52 dni tego nadzwyczajnego oblężenia straciło w mieście życie 54.000 osób różnego wieku i płci, to jest dwie trzecie części wojskowych, a połowa mieszkańców z różnych stron do miasta schronionych».

Ileż analogii z obroną Warszawy w roku 1939! Jest atoli bolesna różnica w tym, że



January Suchodolski

OBLĘŻENIE SARAGOSSY



Polacy stali wówczas po stronie napastników, że brali udział w agresji i spodziewali się przez Saragossę uzyskać najwyższe na ziemi orędownictwo w swojej świętej sprawie.

»W dniu kapitulacji Saragossy 6.000 trupów, nie-pogrzebanych jeszcze, leżało przed kościołami, po rowach i ulicach... Powietrze zarażone dobijało tych, którzy jeszcze pozostali. Zdawało się, że wkrótce mieli iść za tymi, których pogrzebać nie mieli siły. Z pozostałej małej liczby mieszkańców, przez czas 10 dni po kapitulacji umarło jeszcze 1000 ludzi.

»Wojsko nasze dla uniknięcia zarazy nie weszło do miasta. Posłano tylko oddziały na służbę».

Zwycięskim a biednym żołnierzom polskim spod znaku orła napoleońskiego nie dał Bóg nawet tej satysfakcji, co bohaterom spod Cassino, którzy na gruzach zdobytego klasztoru u wrót Rzymu zatknęli białą-czerwoną chorągiew narodową.

Jasne i oczywiste, że symboliczny akt na Monte Cassino nie da się ściśle zestawić z Saragossą. Przeciwnie, należy scenę historyczną z kwietnia 1944 r. przeciwstawić po części beznadziejnym walkom w Hiszpanii,

gdyż symbol nabrał tym razem głębszego znaczenia. Pokonanie zarazy niemieckiej, znacznie groźniejszej od lokalnej zarazy w Saragossie, stanowiło zwycięstwo o wiele bardziej realne.

»Porównywając siłę każdego pułku i czynności w oblężeniu każdej dywizji, wypadaloby położyć liczbę Polaków w Saragossie około 650.

Strata Legii w pierwszym oblężeniu była znaczniejsza, liczba bowiem oblegających była bardzo słaba, a sztuka (technika) małą pomocą. Cała prawie walka czyniła się kosztem ludzi«.

Jak wiadomo, Polacy zawsze zwyciężają w walce wręcz. Stawiają czoło naturalnym przeszkodom, prześcigają najśmielszych wojowników pogardą dla śmierci. Jak Spartanie na polu walki nie cofali się nigdy o krok, tak Polacy wybierają śmierć dla sławy, w mniemaniu, że ofiara najwyższa zdoła przez przysporzenie samego rozgłosu imieniu polskiemu wskrzesić umiłowaną ojczyznę.

Jeszcze raz podkreśla się, że nie zestawia się tutaj naszych zwycięstw polskich we Włoszech z czynami Polaków napoleończyków, jako czynów jednakowych w znaczeniu

historycznym i militarnym. Powtarzamy: Cassino różni się diametralnie od San Domingo, Somo-Sierry i Saragossy — tym, że walczyliśmy w r. 1944 bezpośrednio, wprost i wręcz, pierś o pierś, na obcej ziemi z nieprzejeżdżanym wrogiem Polski.

Niedwuznaczna różnica między Cassino i San Domingo narzuca się w przeciwstawieniu miłujących Boga i swobodę Murzynów — straszniejszym, dzikszym i okrutniejszym Teutom. Murzyni lub Mulaci nie zamyślali nam przenigdy wyrządzać najdrobniejszych krzywd, i Hiszpanie darzyli nas najszczerzą życzliwością, bylebyśmy zostawili ich w spokoju. Przeciwnie, nieproszeni mentorzy i prześladowcy nie przestaną nas nigdy pożerać, gdziekolwiekbyśmy z nimi się spotkali; nie zaniechaliby również nikczemnych przygotowań zagłady naszej, zaproszeni w progi gościnnego domu.

Walkę o Cassino uświęcała walka przeciwko Niemcom.

Pytanie jednak frapujące, co o bitwie o Monte Cassino przeniknie do wersji za-

granicznych? Co tam o niej pisać będą nasze podręczniki szkolne? Czy nie pominą najistotniejszych czynników i tego wydarzenia? Czy nie ograniczą się znów do podania tylu szczegółów, ile wystarczy do tendencyjnego urabiania wzorków celem naśladownictwa bohaterów, co krew za ojczyznę przelewali? Czy reportaże pominą zupełnie momenty drażliwe? (oby nie było skandalów, podobnych do poprzedzających niezapomniane zakrętownie wojska polskiego na San Domingo)... ewentualne cienie i niedociągnięcia... temat słuszności założeń, osnowy i sensu, owoców i mety nowego marszu wojsk polskich? Czy jednak z upływem czasu nie będzie narzucało się coraz więcej porównań z San Domingo, Somo-Sierrą i Saragossą?

Przewidzieć da się, że jak czytelnik anglosaski zajrzy po wojnie do dzieł encyklopedycznych, to nie napotka tam jednego zdawkowego słoweczka o Polakach pod hasłami Narvik, bitwa majowa o Francję, bitwa lotnicza o W. Brytanię, Tobruk etc. Natomiast

pod wyrazem Cassino z całą pewnością znajdzie mniej lub więcej ścisłą wzmiankę o Brygadzie Karpackiej, o ile Polacy potrafią... dopilnować interesu kronikarskiego, nadać samodzielnie rozgłos czynowi bojowemu 1944 r., upomnieć się w przyszłości o swoje dobre imię, na podobieństwo przodków naszych, upominających się o sławę Somo-Sierry.

Co do omawiania polskiego zwycięstwa militarnego w szkołach, będzie ono może zasługiwało na gloryfikację gorętszą, niż żałosna napoleoniada.

— Miejcie przed oczami wielkie zwycięstwa Napoleona i na nich się kształćcie — mówią tradycyjnie wychowawcy do dzieci polskich — bierzcie przykłady z jego wzlotów, a nie błędów. Pouczające, podziwu i naśladowania godne są tryumfy, nie zaś upadki wodza. Uznajmy Napoleona (bezkrytycznie) za mistrza nad mistrzami, jako człowieka czynu. Nie miał może nieskazitelnego charakteru, ale posiadał żelazny...

— Jak później pewien żelazny kanclerz?

— Miał umysł bystry, niezwykle twórczy, genialne zdolności strategiczne, oryginalne koncepcje polityczne. Uosabiał postęp jako rewolucjonista.

— Niezaprzeczalnie.

— Podnosił polską ideę niepodległościową na wyżyny.

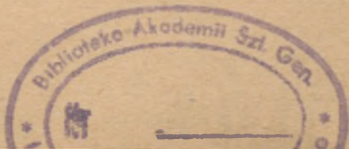
— I pogrzebał ją na nich własnoręcznie.

— Dzięki Napoleonowi błyszczała ona imponująco...

— Ależ błyskotkami cię łudzili, Polsko w marzeniu! Na szafce składaliśmy wówczas, jako też wczoraj, w czas najstraszliwszej okupacji, i składać będziemy gorączkowo zawsze kamienie z szlachetnego kruszcu...

— Czy chodzi wam o odbronzowienie Napoleona?

— Nie drżycie o gronostaje zdetronizowanego cesarza. Nie zedrzymy ich z niego, nawet przez zestawienie z brązowym uniformem Hitlera. Obalenie Napoleona jako wcielenia »nieskazitelного charakteru« nie umniejszy militarnych wyczynów. Nauczyć się można czegoś także z błędów, słabości i niespeł-



nionych dążeń wielkiego człowieka, który pozostanie nim bez wątpienia — mimo nich.

Jako Polacy odniesiemy więcej korzyści, zarówno z doznanych rozczarowań, szkód oraz krzywd, jak i z racjonalnej krytyki w stosunku do siebie.

Oczywiście, gdy mowa będzie o wielkich czynach, poczciwi chwalcy zagłuszą szmery banalną uwagą, że czyn więcej waży, niż słowo. Położą większy nacisk na podziwianiu, niż rozumieniu faktów i wyciąganiu z nich konsekwencji. Będziemy jednak usiłowali wykazać, że czyn splatać się lub kojarzyć winien nierozdzielnie ze słowem. Słowo tłumaczyć musi czyn, komentować, wyjaśniać, uzupełniać. Czyn wypływa często-kroć ze słów, posiadać w nich musi również swe naturalne ujście. Ostrzegać więc musimy przed bezmyślnością czynów, jako groźbą niefortunności życia.

Przemówił na tych kartach pułkownik Andrzej² Niegolewski, przemawiali genera-

łowie Załuski i Małachowski, major Kierzkowski, kapitan Mroziński, porucznik Płaczkowski, wachmistrz Dmochowski, sierżant Wojciechowski i inni — w słowach i czynach. Przemówiły olśniewające czyny bohaterów San Domingo, Somo-Sierry i Saragossy, przemówiły również ich wymowne słowa.

Niepodobna zatem utrzymywać, że słowo nic nie waży, natomiast wszystko znaczy czyn. Ileż to razy po czynach zostaje jeno słowo żalosne i odwrotnie. Słusznie powtarzany bywa frazes »Nie słów nam trzeba, lecz czynów«, jednak to nie znaczy, by lekceważyć słowa treściwe, dojrzałe, owocujące; niedostatek bowiem takich słów mści się na czynach.

Lała się powódź mądrych słów po powstaniach narodu polskiego, jak i poprzedzały je czasami słowa obfite, niestety próżne. Chybiały podobnie jak bohaterskie czyny. Mądrość polska płynęła ze szkód i rozgoryczeń, atoli nowe nieszczenia z niedocenionego szczęścia i głupoty. Jakże często czyny

okazywały się niczym, tworam i niedokrewnymi, pozbawionymi rąk i nóg, a słowo nic nie tłumaczyło, przed nowymi błędami nie ostrzegło...

Słowo Adama Mickiewicza miało konkretnie większe znaczenie dla sprawy polskiej, niż czyn Henryka Dąbrowskiego. Czyny napoleonczyków, jak na przykład ułanów polskich pod Wagram, ważyły pozornie bardzo wiele, lecz słowo Mickiewicza — niewątpliwie zna czyło więcej, choć oczywiste jest, że nie byłoby tego słowa bez tamtych czynów. Mickiewicz zaświadczył dostatecznie pokrewieństwo między słowem i czynem w swym poronionym tworze legionowym. Linia działalności wieszczów i słowo pisane uczestników Powstania Listopadowego świadczy tak samo o ścisłym pokrewieństwie między sobą oraz oddziaływaniu wzajemnym.

Jeśli kiedyś żołnierz spod Cassino powie nam, że źródła jego zwycięstwa szukać należy w »Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego«, nie będziemy się dziwili i złożymy mu głębokie uznanie. Czy zechce jednak

równie skwapliwie nawiązywać swój czyn do saperów i artylerzystów spod Saragossy, dzielnych Somosierrczyków i nieszczęśliwych powstańców polskich — nie tyle pod względem intencji i źródeł natchnienia, co wagi i pożądanych następstw czynów — oto niebezpieczne pytanie.

Postawmy sobie odważnie to niepokojące pytanie! — wiecznie pamiętając, rozważając i rozpamiętując, czerpiąc mądrość i moc plemienną — z waleczności naszych żołnierzy, na użytek dnia codziennego.



J E S Z C Z E P R Z Y P O M N I E N I A



zytaliśmy z napięciem w gazetkach podziemnych, całym sercem stojąc przy żołnierzach spod Monte Cassino, Piedimonte i Monte Cairo, szczupłe wiadomości, jak wielkie ofiary ponosili na rzecz wspaniałego zwycięstwa.

Podczas długotrwałego nacierania na górę klasztorną, znosili niewymowne trudy, o głodzie i pragnieniu, niemniejsze od znoju pradziadów naszych, którzy walczyli na obczyźnie.

Nie chce się wierzyć — powtórzmy to z naciskiem — żeby w przyszłości mogły wyjść na jaw jakieś upokarzające szczegóły

zza kulis dokonań Korpusu Brygady Karpackiej, przypominające wiernie lub dorównywające okolicznościom współpracy z sojusznikami spod znaku orła napoleońskiego.

Jednakże z analogicznymi sytuacjami we współpracy z sojusznikami należało się otwarcie i bezwzględnie liczyć! Nie zawadziłyby przezorność nawet w spółce polityczno-wojskowej z odwiecznym pobratymcem czy bogatym wujaszkiem (z drugiej półkuli).

Nie warto obwijać w bawełnę, importowaną z Dominikańskiej republiki, tragicznych faktów, jakie rozegrały się na wyspie. Nie warto płać bez potrzeby a dobrowolnie nici Ariadny, po labiryntach nieznanych i obcych nam Alp i Pirenejów, skoro stare drogowskazy ostrzegają wyraźnie, odwodzą niedwuznacznie — od drogi ku przepaści.

Spadkobiercy tradycji napoleońskich, wieczni buntownicy. zdążający nieugięcie do celu, powinni już dawno oswoić się z cynizmem, brakiem skrupułów, podstępem, przewrotnością, niesłownością, zmiennością

usposobień kombatantów, tak dalece, żeby coś niecoś i sobie od nich przyswoić. Nie wstydzić się nieufności! Nie prowokować rozczarowań!

Nie dość czasami dorównywać przeciwnikom lub współzawodnikom aktami bohaterstwa, warto im także odpowiadać bystrością umysłu, odwagą i sprawnością myśli, inwencją, szykowaniem niespodzianek, mających na widoku bez ogródek li jedynie własne korzyści.

Niech w pamięci polskiej wreszcie utkwi prawda, że niezbędne annexa do Karty Atlantyckiej ujawniają się od czasu do czasu w mowach premierów. Kodeksy bez komentarzy bywają dla ogółu niezrozumiałe. Nawet układy najwznioślejsze ukrywają korzyści jednostronne. Spełnianie się ideałów potężnych jak cel niepodległości naszego narodu, zależy w decydującym stopniu od interesów naszych sprzymierzeńców, ale nie jest jednoznaczne z nimi. Nie wolno nam utożsamiać ideałów z tymi interesami, podporządkowywać ich bez zastrzeżeń sprzymierzonym, czy-

nić zawisłymi od zbyt przypadkowych czynników. Musimy osiągnięcie naszych nieśmiertelnych ideałów pojmować zawsze na odwrót — nie szczędząc cudzych interesów (nie bójmy się, już ich każdy nasz sprzymierzeniec dopilnuje), natomiast szczędząc tylko swoją krew.

Przychodzi do ofiary rozbiorów wielmożny aliant i pyta wyniośle, nie omieszkając specjalnie podkreślać naszego ubóstwa: — A cóż nam dacie? wy, co nic nie macie, pozbawieni niezawisłości, co nam udzielicie wzamian za korzyści, którymi was obdarzę, jeżeli mi dopisze szczęście?

— Damy wam krew naszą — odpowiadamy zbyt pochopnie. — Wyprujemy ostatnią żyłę i dorzucimy ostatki zasobów materialnych, aż do nędznych łańchmanów i najdrobniejszych oszczędności włącznie.

— A cóż nam waszmość dasz? — zapominamy zapytywać zgóry, nieśmiali między obcymi.

Sprzymierzeniec, zepsuty przejściowymi powodzeniami, zbyt dufny w siebie, nie doświadczony kataklizmami równymi naszym,

chwat nad chwatami, nie mogący się jednak bez nas obejść, wpada w oburzenie:

— Czyż słowo moje wam nie wystarcza? Ja, władca niczym nie skrępowany, dzierżący insygnia władzy nieograniczonej i losy wasze w ręku (przede mną klęczą narody! jeden po drugim dopraszać się będzie moich łask!), daję wam uroczyste przyrzeczenia i te wam nie wystarczają? A któż wam udzieli mocniejszych gwarancji? Nie widzieliście, com uczynił z cudzyni, najpoważniejszymi gwarancjami?

Jak toczył dyskusję z zarozumiałym, wszechmocnym czasowo i groźnym »bogiem wojny«?

W zastępstwie swoim dyktatorzy lubią delegować do podobnych misji specjalnych posłów ze swojej kwatery głównej. Tak swoim czasie Napoleon wysyłał do Kościuszki Fouché'go.

Nasz mądry naczelnik, tęgi realista, mimo swego dobrotliwego charakteru, wyraził ogleśnie złotą myśl, aby minister raczył... zmumifikować pstrego konia, na którym jego pan i władca uprawia karkołomną ekwili-

brystykę, z obfitym rozdawnictwem łask i reklamą wielkoduszności. Koń potknie się i zrzuci jeźdźca, stratuje... więc jakże mu, nieobliczalnemu pasjonatowi, ofiarowywać darmo najlepszego konia z chudoby powszechnie okradanej?...

Owóż w r. 1806, na zapytanie, czy Kościuszko przedsięwziąłby wyprawę przeciwko Rosji, na czele wszystkich Polaków, cesarz Francuzów otrzymał odpowiedź:

— Owszem, wziąłbym odpowiedzialność za naród polski, jeśli cesarz przekona mnie dowodnie, że wywdzieńczy się Polakom za pomoc. Ośmielam się przeto uniżenie jego cesarską mość zapytać, co zamierza uczynić dla naszej ojczyzny?

— Generale, wyznaję otwarcie — rzekł Fouché — że odpowiedź, a raczej zapytanie pańskie zadziwia mnie. Pozwól przypomnieć sobie, o czym wie każda żyjąca istota, że najłagodniej wyrażone życzenie mojego najjaśniejszego pana jest uznawane przez każdego, nie wyłączając monarchów, za rozkaz. Jego cesarska mość może rozkazać panu, abyś towarzyszył mu gdziekolwiek bądź, może zrobić wszelki użytek z usług pańskich, a ja nie widzę nic dobrego ani dla pana, ani dla ziomków pańskich w opieraniu się życzeniom mojego wielkiego i najdostojniejszego władcy.

— Ekscelencjo — odpowiedział z godnością Kościuszkowski — racz zapewnić jego cesarską mość, że doskonale rozumiem położenie swoje; przebywam w kraju jego cesarskiej mości, a zatem uważam się obecnie za poddanego. Jego cesarska mość może rozporządzać mną wedle woli, może wleć mnie za sobą, lecz wątpię, żeby w takim razie naród mój świadczył mu jakieś usługi. Przy wzajemnych zaś odpowiednich usługach mój naród, jako też ja sam, gotowi byśmy byli usłużyć. Niech Opatrzność broni, aby pański potężny i najdostojniejszy monarcha nie żałował, jeśli wzgardzi naszą dobrą wolą.

Fouché podrażniony, zauważył:

— Ja zaś życzę, generale, abyś nie żałował nigdy swojej odmowy!

Na co Kościuszkowski zakończył rozmowę:

— Jest najwyższym interesem jego cesarskiej mości traktować nas jako równych przyjaciół i sprzymierzeńców».

Otrzymaawszy w Poznaniu od Fouchégo sprawozdanie o rozmowie, odbytej przezeń w Berville, Napoleon odpisał:

»Jeśli Kościuszkowski chce przyjechać, to świetnie, jeśli nie — obejdziemy się bez niego. Byłoby jednak lepiej, żeby przybył».

Muratowi na przedstawione z Warszawy żądania rękojmi co do obietnicy niepodle-

głości za wystawienie 30.000 wojska polskiego, Napoleon oświadczył:

»Wielkość moja nie opiera się na pomocy kilku tysięcy Polaków. Niech okażą mocne postanowienie stania się niepodległymi, niech się zobowiążą utrzymać króla, jakiego im wyznaczę (!), wtedy pomyszę, co zrobić«.

Poprzestał tymczasem Napoleon na aprobacie odezwy, podpisanej przez Dąbrowskiego i Wybickiego, z których drugi na audiencji zaręczał cesarzowi bez zastrzeżeń, że Polak krew i byt swój cały odda z zapalem na rzecz niepodległości ojczyzny.

Gdy Murat wjeżdżał z awangardą Davoust'a do Warszawy, od świtu zaczęła gromadzić się ludność na ulicach; kominy nawet były obsadzone widzami. Książe Józef Poniatowski w charakterze naczelnika milicji jechał na spotkanie, popchnięty przez Wybickiego.

»Idą! Idą! Potem cichość solenna; potem okrzyki: Vivat Napoleon! Vivant Francuzi! Potem nie słychać już było żadnych wyrazów, tylko krzyk ciągły, rozdzierający powietrze, przeradzający się w płacz i łkania. Publiczność rzucała się przed jeźdźców, ścisnęła ich nogi, całowała konie. Na Krakowskim Przedmieściu kupcy znosili kosze win i likierów;

przekupki zastawiały co najsmakowitszego miały na swoich straganach« itd.

Wkrótce Napoleon odbył osobiście tryumfalny wjazd do Warszawy. O zaręczenie niepodległości jednak nie było się komu upomnieć. Patriotyczni dowódcy polscy, złożeni z nieskazitelnych mężów — ślepo i z gorącą skwapliwością wykonywali obce rozkazy. Poniatowski, wzywając w proklamacji do wiernej służby wszystkich dawnych oficerów, patentowanych przez Stanisława Augusta, nakazywał zaufanie dla »wielkiego charakteru« cesarza Francuzów. Jednocześnie rząd tymczasowy uznawał jego cesarską mość za swego monarchę.

Za to łatwowierny książę Józef doczekał się wraz z wszystkimi rodakami wcale niepochlebnej, poufnej opinii Napoleona:

»Znam Poniatowskiego; jest to człowiek lekki i niekonsekwentny — bardziej, niż bywają zwykle Polacy, co chyba ma swoje jasne znaczenie«.

Polska, stworzona przez Napoleona w tymże roku, w wyniku nowych szacherek politycznych, budziła uśmiech pobłażania na are-

nie świata. Tyle było warte pod względem zewnętrznego waloru wyniesienie imienia polskiego na nowo na forum międzynarodowe, tak szumnie opiewane po kilkudziesięciu latach przez pocziwych głądziarzy, bezpamiętnych gloryfikatorów... co i wywyżwienie sprawy słowackiej lub chorwackiej przez Adolfa Hitlera, albo sprawy Indii Wschodnich przez imperialistyczną Japonię, w oczach współczesnych... (Poprzez analogie, obrazy nabierają jaskrawszych barw dla daltonistów, niewrażliwych na kolory ciemne). Faszystowscy dyktatorzy wyszukiwali na głowy swoich fantastycznych tworów politycznych manekiny przynajmniej między autochtonami, Napoleon wszakże wołał wybrać na księcia warszawskiego cudzoziemca i to spośród znienawidzonych Sasów. Nie wzruszały Napoleona interesy Polaków, gdyż dawały się niepodzielnie zaprząć do służby Francji, w imię wolności jednych kosztem drugih. Przez pięć lat wątłego żywota Księstwa Warszawskiego, sprzymierzeńcy pustoszyli kraj, niczym zaborcy...

Ostateczna opinia Napoleona o Kościuszcze wypadła następująco:

»Nie przywiązuję żadnego znaczenia do Kościuszki; nie używa on wcale takiego poważania w kraju, jak sobie wyobraża. Zresztą postępowanie jego dowodzi, że jest poprostu głupcem. Trzeba więc mu pozwolić: niech robi co chce, nie dbając o niego w zupełności«,

Historia nie doszuka się w tych zdaniach odrobiny trafności!

Z chwilą, gdy nieobliczalnemu geniuszowi przestaje dopisywać szczęście, przeradza się on normalnie w pospolitego półgłówek, z tym, że klasyfikować go można zarazem jako *stultorum* okaz klasyczny. Napoleon szafował niewybrednymi epitetami o ludziach i wywoływał tym... panegiryki, bałwochwalstwo, czołobitność tłumów. W zamian za obelgi Polacy nie napisali nigdy o Napoleonie złego słowa.

Ludzkość nie przestanie nigdy dopatrywać się u Napoleona przebłyków genialności. Znajdować je będzie w tym, co mu się udało, z ustalaniem pewnych prawideł politycznych... Sztuka zasadza się istotnie na

wykorzystywaniu cudzych niekonsekwencji, gdyż da się na nich wiele zbudować. Polacy zaś popełniają mnóstwo niekonsekwencji, z czego wynikają w dużym stopniu niepowodzenia polityczne od początków państwa. Nie potrafią niestety wyzyskiwać cudzych interesów politycznych dla własnych idei. Jeżeli tak próbowali kiedykolwiek uczynić w niewoli, czy niepodległym państwie, to z druzgocącą przegraną... ledwie honor swój ratując z popielisk...

Smutne dzieje narodu nauczyć nas nie mogą, że byt nasz zależy przede wszystkim od własnych efektywnych sił. Marnowanie ich bywa klęską, niezależnie od zwycięstwa, skrętne chowanie i oszczędzanie ich przygotowuje wzrost, szczęście, sławę. W próbach sił decydują zachowane rezerwy. My je stawiamy ustawicznie na jedną kartę, a potem spadamy marnie do roli żebraków.

Tymczasem dzieła jednostek nie rządzą się wedle cierpień Chrystusa narodów; nie rodzą się z nich także zdobycze społeczeństw. Rządzą się nie tylko według praw Boskich,

ale i zwyczajnych ludzkich. Duch chrześcijański słabo dotychczas przeniknął ludzkość, daleko jest bowiem do tego, by objął choć jedną szerokość geograficzną, a cóż dopiero jednolicie cały kontynent.

Nie warto zapominać na codzień, że stosunek państwa do państwa, kurs przyjaźni politycznej, współpracy wojskowej, gospodarczej, czy szumnie ochrzczonej kulturalnej, zmienia się niejednokrotnie z osobą kierownika nawy pod kątem 180 i 360 stopni. Nawet światopoglądy, nie wyłączając najważniejszych, ideowych i idealistycznych, zapatrywania na budowę życia międzynarodowego, historiozoficzne i religijne — malowane złotem na sztandarach — ulegają gruntownej zmianie. Pokazuje to w dzisiejszej dobie z olbrzymim a gorszącym powodzeniem niedościgły Niemiec *über alles*. Opatrzność, mimo pozorów, nie jest istotą bierną, lecz daje się z łatwością zaprzęgać do aktualnych interesów, zwłaszcza kiedy naród cały ucieka się przebojem pod jej wezwanie.

Nie wskazując Niemców jako przykład i obywając się bez nawiązania do czasów przedpotopowych, wystarczy sięgnąć do pamięci przeżytych wydarzeń historycznych współczesnego pokolenia.

Premier brytyjski, Lloyd George, *dixit*... Późniejszy grabarz pokoju w Wersalu, zaprzysięgły obrońca zwyciężonych Niemiec, oświadczył podczas pierwszej wojny światowej:

»— Prusy, odkąd były w rękach kasty junkrów, czyli zawsze, były złym sąsiadem: aroganckim, groźnym, prowokującym, wspartym na żelazie i łamiącym bezczelnie traktaty, stosownie do potrzeby; sąsiadem, wydzierającym słabszym jeden szmat pięknej ziemi po drugim, sąsiadem, czatującym z kołczanem nabitym zaczepnymi strzałami, każdej chwili gotowym do ujawnienia pogotowia rabunkowego. Prusy były zawsze w Europie sąsiadem nieprzyjemnym, zakłócającym pokój całej ludzkości. Tym, co żyją od nich o mil tysięcy, trudno zrozumieć, co znaczą żyć od nich o miedzę. Tryumf Prus doprowadziłby ludzkość do tego, że ugrzęzłaby w beznadziejnym bagnie. Dlatego od początku wojny jeden tylko, jedyny cel miałem wciąż przed oczami: wybawienie ludzkości od najokropniejszej katastrofy, jaka kiedykolwiek zagrażała ludzkości«.

Tak ongiś głosił, *inter arma*, człowiek-wyrocznia. Zdawałoby się, że można mu było zaufać, nie tylko na ziemiach słowiańskich, ale i we Francji, oddalonej znacznie mniej niż 1000 mil od mównicy parlamentu brytyjskiego. Silesia jednak okazała się tak daleka w pojęciach geograficznych premiera brytyjskiego, że utożsamiał ją z Cylicją, t. j. południowo-wschodnią częścią Azji mniejszej, gotów bez ogródek i tę darować znie-nawidzonym do niedawna Prusakom.

Wnet powstało dość trudności, by bliższego sąsiada pojmować gorzej, niż osławione, nikczemne Prusy. Natomiast trudności w zrozumieniu, co znaczy żyć z Prusami o mie-dzę, wzrosły do nieprawdopodobieństwa; Lloyd George przestał wkrótce wysilać się zupełnie w kierunku zdobycia się na to zrozumienie, pochłonięty całkowicie intratną wymianą gospodarczą z Niemcami. Sprzedał Prusom bez zastanowienia połowę przyjaźni z Francją, nie pytając jej wcale o zdanie i oddając wygrany z nią wspólnie puchar wędrowny pokoju, za cenę *splendid isolation*.

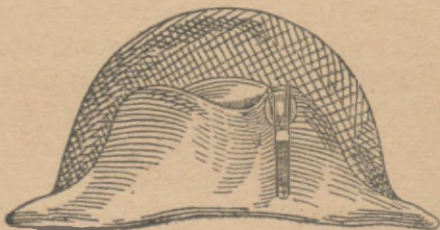
OD SAN DOMINGO DO CASSINO

Ideale zmieniają się w porze burz i pogody, zmieniają się też drogi zdążania do ideałów...

Polityka brytyjska i tradycja stosunków polsko-francuskich, w pełnym znaczeniu tych wyrazów, uczą nas znacznie więcej, aniżeli pragniemy sobie przyswoić. Obce zaś czynniki uczą się od nas znacznie mniej, niż się nam w romantycznej umysłowości wydaje...

Dziś idziemy do celu wspólnie ze sprzymierzeńcami ...poprzez nieprzeliczone trupy Polaków, padłych ofiarą najokropniejszej z wojen wszystkich czasów.

...Cześć najświętsza żołnierzom
spod Cassino!





wycięstwu polskiemu pod niebem włoskim towarzyszyły niepomyślne oznaki. W chwili, kiedy zdawałoby się cały naród zjednoczył się w woli ukochanych, najwartościowszych synów, zmagających się z najzaciętszym wrogiem, w łonie Rady Narodowej w Londynie wybuchła burza. Część członków przedstawicielstwa zażądała ustąpienia wodza naczelnego oraz ministra spraw wojskowych.

Ze zgorszeniem opinia w kraju, zdezoriontowana co do polityki polskiej za granicą, tak samo jak i odwrotnie, przyjęła wystąpienia jako smutne objawy warcholstwa. Niesłusznie. Bo może nadejście burzy znamionowały

gromy i błyskawice, po których spodziewaliśmy się mylnie jej zażegnania?

Podziwiać należy tym więcej męstwo naszego żołnierza, że udokumentowane zostało bez dostatecznego wsparcia moralnego ze strony społeczeństwa. Oczywiście klótnie w łonie rządu, votum nieufności przedstawiciela społeczeństwa do mózgu w armii, niezgoda w sferach kierowniczych emigracji, nie mogą w dalszej konsekwencji wpłynąć dodatnio na morale i samopoczucie wojsk polskich we Włoszech. Uderzy je to, zaboli; skargą odezwie się kiedyś ów żołnierz-tułacz, że podczas wzniosłego dźwigania kamieni na szaniec, współrodacy, rzućni na obcą ziemię, rzucali kamienie pod nogi...

Poniewczasie przyjdą refleksje... zgorzknienie... pozostanie uczucie niesmaku... I to zrodzone stąd, że dość było rzucić hasło »Z ziemi włoskiej do Polski«, aby żołnierze szli z bagnetami na okrutnego wroga. Że dość było przywódcom polskim pokładać pełne zaufanie w dowództwie naczelnym sprzymierzonych, co do realizacji wspólnych

celów, aby wydane zostały odpowiednie rozkazy... Że dość było usłyszeć ponownie wśród skał półwyspu Apenińskiego dźwięki mazurka Dąbrowskiego, by utwierdzić wiarę w spełnienie się niezachwianych zamiarów polskich... Że miło było umrzeć z wyrazem *Ojczyzna* na wargach, otrzymawszy na wieczną drogę wiatyk — błogosławieństwo ducha św. Wojciecha.

Pierwszy bowiem apostoł polski podjął słynną wyprawę w r. 995 — z klasztoru w Cassino. Stąd udał się wprost nad Bałtyk, przez bramę Morawską, Śląsk i Wielkopolskę, celem zjednania mieszkańców Prus Wschodnich dla Polski. Tutaj dosięgło go przed wiekami potężne wezwanie Bolesława Chrobrego do podjęcia misji politycznej, po pobycie w klasztorze św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie.

Śladami zakonnika, byłego biskupa Pragi, torowała się droga marszu na północ...

Oświadczał dumnie generał Władysław Anders w maju 1944: »Jeżeli zwyciężyliśmy, to przede wszystkim dlatego, że walcząc o Cassino, biliśmy się o Polskę«...

Z kolei po zdobyciu masywu górskiego armia polska zajęła port Ancona. I tutaj żołnierzy polskich musiało ogarnąć rozczarowanie. Ze smutkiem chyba powzięli wiadomość, że cel ich walki był stereotypowy (wedle przemówienia wygłoszonego w lipcu 1944 przez generała Sosnkowskiego do zdobywców Ankony): »Każda kropla krwi, przez was przełana, umacnia prawa Polski, wołając do sumienia świata o prawdę i sprawiedliwość«.

Więc jeszcze jedno wołanie! Więc może tylko apel do sumienia świata i nic więcej! Zatem chodzi o beznadziejną propagandę rozlewu krwi, nie zaś o marsz rzeczywisty, ustalony i pewny — do Polski!

Myśleliście zapewne, kochani bojownicy, że w nadchodzącym lecie zobaczycie się z rodzinami, dziewczętami polskimi, że ujrzycie polskie łany... a myśmy po czynach waszych tryumfalnych mieli prawo przypuszczać, że przepędzicie w niedługim czasie »konkretnie« Niemców ze znękanego kraju... Róże byśmy wam ślali pod stopy itd., niczym powitanie Napoleona w Warszawie A. D. 1800.

Tymczasem dowiadujecie się, że zachodziła nadal potrzeba wołać o prawdę, o sprawiedliwość. Jak gdyby w sercach jakichkolwiek na świecie istniały jeszcze wątpliwości co do praw Polaków do niepodległej ojczyzny, do własnej ziemi! Jak gdyby wogóle zachodziła potrzeba podnoszenia skargi i upokarzania się wobec sprzymierzeńców, natomiast nie wypadało oskarżać i obwiniać wspólnych wrogów, żądać i domagać się ostatecznie bezspornego miejsca na świecie!

Po ubogich słowach rozkazodawcy wzbudzić się musi w umysłach wszystkich Polaków smętna refleksja — czy walcząc o Cas-sino, istotnie biliśmy się skutecznie o Polskę? Czy po śnie o szpadzie i snach o potędze, nie rozwieje się ponownie sen o chlebie... Czy marsz Korpusu śródziemnomorskiego nie zatrzyma się nad zatoką genueńską? Czy dane mu będzie przekroczyć Alpy? Czy istotnie znajdzie epilog wprost nad Bałtykiem? Czy tym, co podejmują marsz szlakiem Świętego Wojciecha, nie przeznaczony będzie los apostoła lub legio-

nów Henryka Dąbrowskiego? Czy w końcu osławione warcholstwo polskie nie ma głębszego uzasadnienia?

Zaiste, wyznania wodzów naszych żołnierzy spod Cassino dyktują najbardziej niepokojące pytania... głębokie wątpliwości... złe przeczucia... naturalne obawy... spóźnione refleksje...

W istocie nie chodzi nam tutaj o nic więcej, niż o śmiałe wyrażenie prawdziwych uczuć serc polskich, o wyrażenie tej samej tęsknoty, jakiej napewno poddają się waleczni żołnierze polscy nad Adriatykiem, o analogie historyczne, nasuwające się same przez się i jakie w dniach dzisiejszych, z okazji święcenia zwycięstwa pod Cassino, znaleźć muszą wyraz jak najsilniejszy. Ten co tu usiłuje piętnować romantyzm naszych przodków i współrodaków, jest w samej rzeczy także nieuleczalnym romantykiem; krwawiącym sercem — i w tym jest niezawodnie jego romantyzm — odczuwa fatalność polskich błędów, gorszych wszakże od zbrodni...

Wypowiedział niegdyś jeden z obcych realistów spod napoleońskiej daty ową maksymę o błędach politycznych ze stanowiska interesów narodu — ach jakże nieubłagane wpajać sobie musimy tę gorzką prawdę, skoro krew bohaterów z San Domingo, Somo-Sierry i Saragossy poszła zupełnie na marne.

Czyżby całe znaczenie czynu artylerzystów i strzelców górskich z Cassino polegać miało jedynie na dalszym — oby wreszcie owocnym — ugruntowaniu bezlitosnej a wielkiej prawdy?

Porównywać nam wypada czyny przodków i dzisiejszych współbraci, aby pamiętać nie tylko o tym, co ich częściowo różniło — i co Polaków różnić musi, o ile nie mają nadal błędzić po bezdrożach, przelewając cenną krew na próżno — lecz i o tym, co całkowicie łączy jednych i drugich, ku ostrzeżeniu i czujności w dziedzictwie pokoleń.

Łączy bojowników sama idea dobijania się niepodległości pod odwiecznym hasłem: »Za wolność naszą i waszą!«

Wojacy w epoce napoleońskiej wykrwawiali się na rzecz identycznych celów, tych

samych niebotycznych ideałów, co przedtem powstańcy kościuszkowscy, tudzież później uczestnicy coraz nowych, nieustających powstań polskich. Nieprzeliczone szeregi odważnych wyznawców walki orężnej biły się o niepodległość ojczyzny na obcej ziemi, w zamęcie wojny powszechnej ludów, w niezachwianym przekonaniu, że jeszcze Polska nie zginęła, póki żyje! Póki Polacy ofiary na stos składają, znicze zapalają i dopokąd awanturują się, buntują, politykują, spiskują, przemysłiwają — o własnych siłach lub we współdziałaniu z kimkolwiek, kto pomoc może w fundamentalnej, słusznej sprawie.

Za wolność naszą, lecz w gruncie rzeczy — i waszą, narody zespolone z nami w braterstwie broni, jak również nieprzyjacielskie, jakimi dziś jesteście. Jutro możemy współżyć zgodnie, dla wzajemnego dobra, pod jednym jedynym warunkiem uszanowania naszego niepodległego bytu!

Wspomnienie napoleończyków, wsławionych orężem w górach Haiti i półwyspu Iberyjskiego, fanatyków idei wolności, jest —

przez nawiązanie do ich czynów — pokornym i najwłaściwszym uczczeniem bohaterstwa żołnierza polskiego pod Cassino.

Obowiązkiem podstawowym uczciwości względem wielkiej sprawy jest pamięć o tych, którzy walczyli o ten sam cel, co żołnierze spod Cassino.

Obowiązkiem każdego Polaka jest zastanowić się dziś, czy daremność ofiar napoleończyków następne pokolenia czegoś nauczyła, aby czasami i bezcenna krew bohaterów spod Cassino nie polała się na marne.

Jakże zaszczytna i chwalebna jest śmierć poniesiona przez żołnierza polskiego na stokach skał Cassino, żołnierza, co z poświęceniem bez granic podążał do Polski wolnej, aż życie swe ofiarował na rzecz doczekania się przynajmniej przez jego współziomków (kiedy jemu, bohaterowi, nie dano doczekać) spełnienia jednakowego gorącego pragnienia, jakie z nim dzielili. Nie ma słów na wyrażenie piękna tej śmierci nawet w tak ukończonym przez poległego języku ojczystym. Piękno tej śmierci przerasta nie tylko piękno

życia, mieszczącego się w mowie, ale i piękno całej ziemi polskiej, jak również pełną wartość życia tych, co korzystać będą w pomysłności i spokoju z owoców poświęceń rodaków, poległych na polu chwały. Nigdy życie wolnego Polaka, bodaj najpożyteczniejsze dla ojczyzny, nie dorówna miarą wartości poświęceniu żołnierza-tulacza, dla tego samego, że zbudowane i oparte, rozwijać się będzie na jego losach i dzięki jego krwi.

O męce Polaków niestety nie mają pojęcia inne ludy, jakby ich nic nie obchodziła, wbrew drugiej połowie odwiecznego hasła »za wolność waszą«. Gdybyż jeno obce ludy! Zachodzi silniejsza obawa, że my sami przejdziemy lekko »do porządku« nad rozlewem krwi najcenniejszej naszego pokolenia, nie doceniając należycie trudu i znoju bohaterów poległych i żyjących spod Cassino.

Dziwna rzecz, co z wielkiej epopei utkwi w tradycji, przekazywanej z pokolenia w pokolenie. Niewątpliwie zwycięstwa wojska polskiego na obczyźnie, odnoszone po miazdzącej klęsce wrześnieiowej, godne są upa-

miętnienia, jako obrazy czynu zbiorowego, wręcz nieprawdopodobne. Dzieje każdego uczestnika walk, utrwalone poszczególnie, składać się mogą na epos klasyczny. Co opowiadać się będzie w przyszłości wnukom o epopei dywizji Karpackiej i Kresowej?

Zapewne narratorzy, wyrosli z dzisiejszej młodzieży, opowiadać będą duby smalone, jak poniekąd nasz dziadek, pod wpływem niedowładu ducha, zakutego w kajdany, o napoleoniadzie. Nie obrazi pamięci przodków wykazywanie u nich atrofii mózgu lub sklerozy, gdyż pojmujemy trafnie ich chorobę, przy tym bardzo się z nimi kochaliśmy. Choć nie żyją, kochamy się z nimi nadal na tym świecie, poprzez dziedzictwo krwi, zbożne wychowanie i szacowne po nich pamiątki. Dziadkowie nasi byli zbyt zacni i dobroduszni, — my nie wstydzimy się nauczyć wielu rzeczy pożytecznych bodaj od Machiavellego.

Rozpocznie się kiedyś opowieść o czasach hitlerowskich może kolorowo od banialuk o jakichś przyjaciółkach bohatera wieku,

uważanego za życia za antyfeministę. Przyszłość przypisze mu 100 kochanek i będzie wolała o nich słuchać ochotniej, niż o obozach koncentracyjnych. Dusza człowieka przyszłości wzdrygać się będzie na dźwięk wyrazów Dachau, Oświęcim, Majdanek, zniechęci się do koszmarnych tematów, zapomni o nich zdecydowanie, natomiast reagować będzie żywo przy niedyskrecjach osobistych, błahostkach i bzdułkach, które urosną fałszywie do symbolów barbarzyńskiej epoki. Według wszelkiego prawdopodobieństwa dwudziestolecie międzywojenne doczeka się epigona Plutarchowego prędzej na tle *vie romancée* polskiego ministra spraw wojskowych, aniżeli w inny sposób, roztaczający wierny i istotny obraz rzeczywistości polskiej tego okresu. Identycznie toczyć się będą barwne opowieści jak o Napoleonie...

Cóż bowiem tkwi w świadomości ogółu z kampanii napoleońskiej? Czy każdy obywatel polski ma wyryte w pamięci na wieki straszliwe przejścia bohaterów z San Domingo i Saragossy, czy ma pojęcie o bezmiarze ich

tragedii, czy zastanawia go, porusza i poucza po dziś dzień bezowocność ich wysilen?

Gdzież tam! W umysłach i wyobraźni dorastającej młodzieży, przygotowującej się do jak najgodniejszego obejmowania tradycji ojczystych, posiadającej patent dojrzałości, czerpiącej pokarm dla duszy i wyobraźni z podręczników szkolnych, tkwią obrazy dalekie od realizmu czasów. Również dorośli, czerpiący pożywki z programów kin i teatrów, gazet, przemówień publicznych oraz literatury podnoszącej jakoby zdrowo na duchu — mieszczanie i chłopci polscy, uświadamieni rzetelnie o obowiązkach służby dla ojczyzny — popadają rozmyślnie w mistykę wojny. Od romantyki do kultu wojny bywa tylko niedaleki krok.

Znajomość ogólna stosunków Napoleona z Polską ogranicza się do popularności pani Walewskiej. Niewierna mężatka, która w najlepszym razie pragnęła także na swój sposób oddać usługi Rzeczypospolitej, przyćmiewa blaskiem swych kolczyków wstrząsającą niedolę milionowych ofiar dramatu

dziejowego. I my niby wszyscy, jako naród, mamy uczuwać dumę, że wdzięki jednej hrabiny, reprezentowane chyba tylko w buduarze prywatnym, a nie tam zaraz na ołtarzu interesów krajowych, mogły zaważyć na szali losów ogółu współziomków? że ów słyszny awanturnik, cynik, zabijaka, co nie przysparzał Polakom realnych korzyści politycznych, poza nieskończonym pasmem rozczarowań, raczył wystąpić w roli uwodziciela pięknej Polki? Słaby tytuł do dumy! Lepiej byśmy upatrywali w szczegółach życia obyczajowego ówczesnych dworów powód do lekkiego zawstydzenia się, zbadali na przykład, czy przypadkiem nie intrygi kobiece wpływały na niesprawiedliwy sąd Napoleona o wybitnie przystojnym księciu Józefie? czy nie natrętne wciąganie Napoleona w przygody miłosne z Polkami paraliżowały jego siłę woli w stosunku do oddanych sojuszników? czy nie oddziaływały na zlekceważenie właściwych interesów biednego kraju?

Toż stokrotnie więcej odnośnego romantyzmu, jeśli o to idzie, znajdziecie w dzie-

jach panowania Augusta Mocnego, który, jak podanie niesie, powiększył naród nasz co najmniej o sto książątek zwiedzonej krwi. Ilekroć jednak mowa znów o tym atlecie saskim, co podkowy w rękach łamał i rozbrykane konie zatrzymywał w galopie, warto pamiętać, że wyrządził Polsce o tyleż razy więcej szkód o ile zdołał zdystansować Napoleona na bujnej niwie populacji.

Wszelako dramat Putyfary to nie dramat starożytnego Egiptu, dramat Józefiny to nie dramat Europejczyków jej epoki, a tragedia księżny Łowickiej to nie tragedia Powstania Listopadowego. Przecież przekleństwo carskiej Rosji nie wyczerpywało się w osobie Rasputina, problem uzdrowienia Niemiec nie został rozwiązany z kresem błazeńskiej figury Hitlera. Nie podobna też twierdzić, iż jeden człowiek ponosi odpowiedzialność za zbrodnicze poczynania 80-milionowego narodu. Sprawy ustroju państwa, metod rządzenia, układu stosunków, warunków życiowych, zagadnienia przyszłości i rozwoju narodów, losów państw i społeczeństw nie są

tak proste ani płytkie, iżby zamykać się dały w romantycznych fabułach, przygodnych igraszkach, kompleksach erotycznych lub zwojach mózgowych czołowych jednostek. Nie zdawanie sobie sprawy ze stopnia woli zbiorowej, wpływającej na kształtowanie doniosłych zagadnień, woli własnej tysięcy oraz milionów obywateli, wyrażającej się w takich a nie innych kolejach narodu, świadczyłoby o jego marazmie, uśpieniu, niedorozwoju, niedokrwistości, niedołęstwie, chorobie, dekadencji, bezmyślności, braku życiowej dojrzałości oraz braku sił żywotnych, rokujących pomyślną i zdrową przyszłość. Czyż nie jesteśmy narodem na tyle zdrowym, żeby sobie powiedzieć najbardziej gorzką prawdę? Czy gloryfikować musimy wszelkie szlachetne porywy, bez względu na wyniki? czyż nie uznamy krytyki tam gdzie szlachetność zamiarów nie zapobiegła klęsce?

Idzie więc o pewną naukę z przeszłości i prowadzenie właściwej polityki, pozbawionej jakichkolwiek złudzeń oraz mętnych kalkulacji. Idzie o przyszłość narodu, o znajdy-

wanie wskazówek realnych dla dążności naszych. Aby nasza idea dziejowa doczekała się realizacji, musimy jasno zdawać sobie sprawę, na co nas stać, gdzie wylania się próżnia lub przepaść, że dla pogrążania się w otchłani nie warto przelewać krwi, że słowo cudze nie jest warte więcej od naszego, a w każdym wypadku samo w sobie nie jest warte naszej krwi.

Nie wolno powątpiewać, że nieszczęścia wszelkie zawierają swój sens, swoje prawa, przyczyny godne zgłębienia i ze wszechmiar zastanowienia. Szczególnie wiele chłopskiego rozumu mogliśmy nauczyć się my Polacy, z głębokim uczuciem bólu, mając za sobą sporo smutnych epizodów, jak San Domingo lub Saragossa.

Zgodzimy się chyba z łatwością co do tego, że uwypuklone przez nas specjalnie epizody walk zbrojnych oznaczają jaskrawe błędy polityczne, rekordowe w historii świata nonsensy. Nonsensy niebotyczne, bo sprawcy zdawali się niestety zapomnieć, iż błędy silniej niż zbrodnie wołają o pomstę do nieba.

San Domingo i Somo-Sierra to klasyczne błędy rozumowe i psychologiczne, będące gruntownym wypaczeniem zarówno pierwszej jak drugiej połowy hasła »Za wolność naszą — za wolność waszą«.

Jeżeli z krwi polskiej na Haiti i w Hiszpanii powstał dobry posiew dla obcych narodów, to jedynie stąd, iż walki tamtejsze zostały przez sojuszników definitywnie przegrane. Nie ma co winszować sukcesu naszemu narodowi. Polacy nie tylko nie uczynili sobie żadnej przysługi, lecz wręcz zaszkodzili swej sprawie ojczystej przez rozlew krwi na obcej ziemi, w walce z narodami, które prędkiej nadawały się na naszych stronników, niż nieprzyjaciół. Osłabialiśmy beznadziejnie siebie, nie czyniąc najmniejszej ujmy naszym prawdziwym nieprzyjaciołom, sprzyśniętym przeciwko nam w trójjaborze. Stałe nasze osłabianie się leżało mocno w interesie zaborców. Jakiż to był radosny strumień wody na młyn inicjatora zaborów, gdy lała się bez najmniejszego wysiłku z jego strony, przez nas samych uruchamiana. Myśmy cier-

pieli, targali się w męce, wypruwali żyły, ponosili nieustanne ofiary z mienia osobistego i społecznego, bez żadnego kosztu naszego właściwego przeciwnika. Obfita dań krwi polskiej, złożona na obu półkulach, rozdziła pożądane dla niego owoce, eksportowane na warunkach dumpingu wprost do gardzieli Niemców i Austriaków. Nam ubywało szaleńczo sił, przy homeryckim śmiechu Prusaków, nie potrzebujących zdobywać się na odrobinę wysiłku, prócz hamowania swej uciechy. Wyrażmy całkiem twardo stanowczy nakaz: nie powinniśmy byli podejmować jednego kroku ani ruchu tam gdzie nie zadawaliśmy ciosu bezpośrednio nikczemnemu, nienasyconemu wrogowi... Wtedy jednak zdwoić się i potroić w walce, okazać się niezrównanym aliantem — osłabilibyśmy nie tylko r z e c z y w i s t e g o, groźnego nieprzyjaciela, ale nawet nieodpowiedzialny sojusznik zacząłby się z nami liczyć realnie. Strzały nasze opłaciłyby się! Wtedy byśmy zająśniali w glorii... osiągnąwszy konkretnie tak celowe osłabienie wroga...

Jacyż bogaci musieliśmy być w pierwszych latach po rozbiorach, skoro później zdobywaliśmy się jeszcze tylokrotnie na niepojęte zrywy i wielkie ofiary, zarówno na obcych jak na naszych ziemiach. Nic dziwnego, że w miarę malenia sił i zasobów narodu polskiego, w stosunku odwrotnym rósł pod każdym względem potencjał nieprzyjaciela ku naszej zatacie.

Mimo wykazywania zasadniczych analogii, razić i boleć nas winno zestawianie agresorów, targających wolność wyspy amerykańskiej i królestwa hiszpańskiego, ze zdobywcami Cassino. Nikt u nas nie ośmieli się porównać Murzynów, Mulatów i Hiszpanów, rzeczników słusznej sprawy, z dzisiejszymi władcami »twierdzy europejskiej«, aby nie krzywdzić ówczesnych obrońców.

Już nakoniec rezygnujemy z zastosowania do napoleończyków w całej rozciągłości słów, wypowiedzianych do zdobywców Ankonny o rzeczywistym umacnianiu praw Polski do wolności i rozbudzaniu sumienia świata.

Wołanie o prawdę i sprawiedliwość nie zostało przed laty wysłuchane.

Czy wysłuchane zostanie dzisiaj, po zwycięstwie pod Cassino, jak tego pragniemy?

Czy drogowskazy w Ankonie nie zawiodą wojsk polskich na manowce, zamiast do kraju?

— — — — —

— Mylordzie, niech pan pozwoli zajrzeć do przygotowującego się wydania powojennego Encyklopedii Britannica. Co tam piszecie o udziale Polaków w drugiej wojnie światowej?

Odpowiedzi brzmią:

— Przy Narviku... nie ma wzmianki o Polaczyskach.

— Omówienie kampanii francuskiej nie wyróżnia dywizji polskich.

— *Great battle of Britain* nie raczy nawet uwzględniać słynnego dywizjonu 303. Zdaje się, że zasłużeni lotnicy zażywać będą w przyszłości tylko tyle sławy, ile sami jej przysporzymy »po wszem świecie«.

— Śladu pobytu artylerzystów polskich w Tobruku także nie ma. Wśród serii foto-

grafii pominięto kącik polskich krzyżów na cmentarzu wojskowym w pustyni afrykańskiej.

— Polskie jednostki morskie? Nie wiadomo z obszernej encyklopedii, czy w ogóle jakie były.

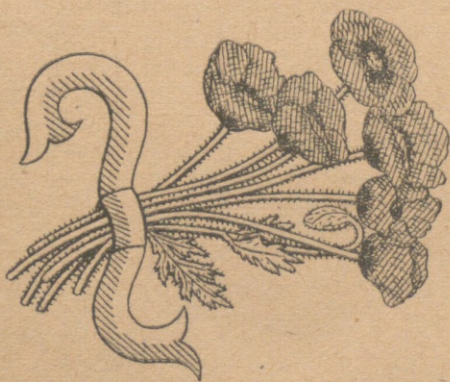
— Owszem, jest skąpa wzmianka o Monte Cassino: »516 nad poziomem morza, klasztor Benedyktynów, od r. 1925(?) opat niemiecki, przez Niemców przebudowany, podczas ofensywy VI armii amerykańskiej silnie broniony przez niemiecką załogę, jako główny ośrodek umocnień w linii Hitlera; po natarciach oddziałów amerykańskich i francuskich zajęty przez polskich strzelców górskich«.

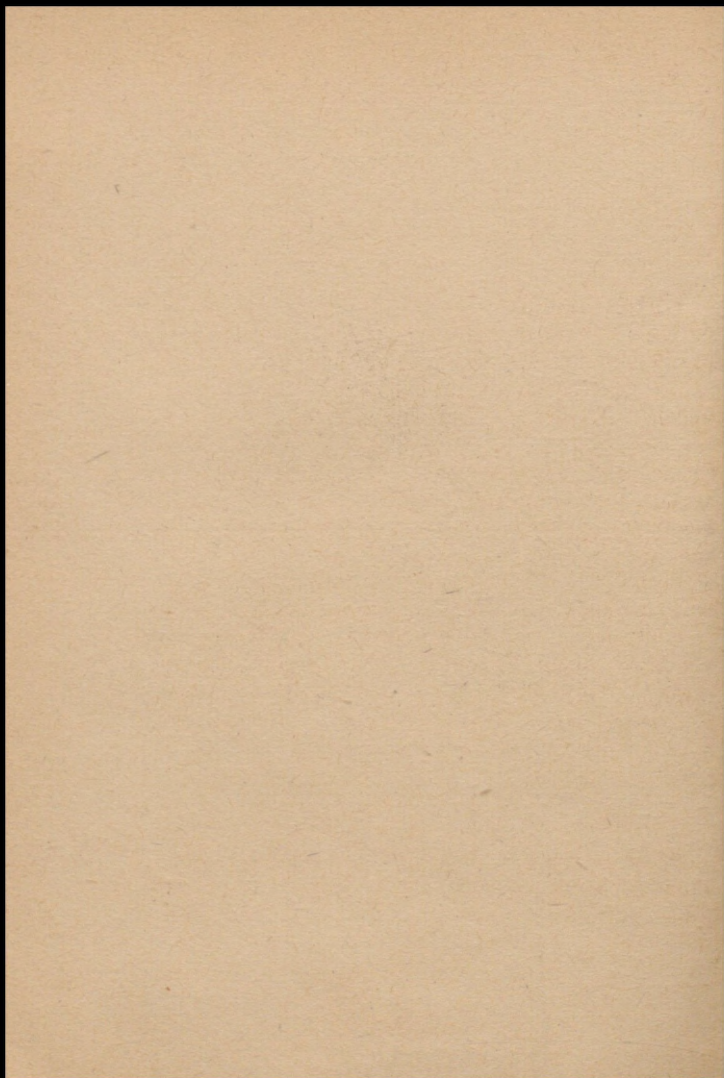
O Ankonie ogólnikowo:

— ... port nad Adriatykiem, zdobyty przez VI armię amerykańską w lipcu 1944.

Encyklopedia nie zawiera odpowiedzi, czy wojsko polskie z północnych Włoch doszło w ogóle do Polski.

Warszawa, czerwiec 1944





DOPEŁNIENIA

Rozkaz dzienny dowódcy II korpusu wojsk polskich we Włoszech, ogłoszony po zwycięstwie dnia 17 maja 1944 r. pod Monte Cassino :

»22 dni bez przerwy pod ciężkim ogniem w najtrudniejszych warunkach, 7 dni zaciętego boju o niemieckie fortyfikacje — to wspaniały wysiłek walk i poświęceń naszego żołnierza, nie mający wiele równych nie tylko w historii tej wojny, ale i w historii świata. Zwycęstwo nasze osiągnięte zostało wspaniałym wysiłkiem i współdziałaniem obu dywizji piechoty, oddziałów czołgów, naszej artylerii, saperów, wojsk łączności oraz broni i służb, biorących udział w bitwie.

»Cały naród polski dumny jest z was, żołnierze. Wszystkie serca polskie na całym świecie biją dziś radośnie. Oddaję hołd poległym naszym bohaterom. Wyrażam najwyższe uznanie żołnierzom wszystkich stopni, za ich nieustrudzony wysiłek w tym boju ku chwale Ojczyzny«.

Straty oddziałów polskich. Od chwili wejścia na linię frontu w południowych Włoszech, czyli w okresie niespełna dwu miesięcy, straty korpusu polskiego

pod dowództwem generała Wł. Andersa wyniosły 3.840 ludzi, m. tym 622 poległych.

W ostatnim dniu ciężkich bojów o fortecę klasztorną padli na polu chwały dowódca brygady kresowej pułkownik Kurek oraz dwu dowódców batalionów w stopniach podpułkowników.

»Polacy walczyli do zupełnego wyczerpania, ustalali dopiero zabici lub ciężko ranni«, brzmiała depecha angielskiego korespondenta wojennego. Ofiary były szczególnie i niewspółmiernie wysokie – w ciężko rannych.

Rozprawka historyczno - publicystyczna »Od San Domingo do Cassino« napisana została we wczesnym lecie 1944 r.

Autor zabrał się do pracy nazajutrz po depeszach radiowych o zwycięstwie i ukończył ją, łącznie z większą częścią niniejszych uzupełnień, w połowie lipca. Czytał rzecz dwukrotnie w Warszawie na zebraniach konspiracyjnych, dnia 13 czerwca i 23 lipca (w obecności 8 i 17 osób).

Spośród szeregu rękopisów ten jeden uratował się autorowi całkowicie w nieszczęsnym powstaniu warszawskim – i to wydaje się symboliczne. »Palec Boży, czy co?« – musiał powiedzieć sobie skrobipiórek wobec dużej niespodzianki... Symboliczne dlatego, że o mało co książeczka wyszła z oficyny drukarskiej w okresie powstania, zaopatrzona notą: »1944 – w powstańczej Warszawie«. Szczęśliwie papierzyska prze-

leżały wśród popiołów zimę popowstaniową, obok szczytków drugiej pracy: »Sąd wieków nad Niemcami«, która po zrekonstruowaniu ukaże się również drukiem w r. 1947.

Obecny tekst rozprawki uległ przed ogłoszeniem tylko nieistotnym zmianom. Tytuł pierwotny brzmiał: »Słowo o Monte Cassino«, a jedno z końcowych, skreślonych zdań: »Oby wojsko polskie z północnych Włoch, zamiast w objęcia rodaków, nie wpadło w ręce Brytyjczyków!«

Słusznie dyskusja komentowała akcenty antyangielskie, gdyż chodziło o nie autorowi nieduwz naczenie. Jeden ze słuchaczy, który raczył odczyt surowo potępić, powiedział niespodziewanie po szeregu miesięcy:

— Pańska rozprawka była nieledwie... prorocza. Przez cały czas powstania oboje z żoną często ją wspominaliśmy. Nie schodziła nam z pamięci«.

Wyznanie to sprawiało autorowi najgłębszą satysfakcję, po namiętnej wymianie zdań, którą obudził »występ publiczny« w przededniu powstania warszawskiego. Jak wypadło oczekiwać, dyskusja podzieliła się na dwa zwalczające się obozy. Młodzi zapalczywie uznawali rewizjonizm historyczny i światopogląd realistyczny autora, starzy — a to szanowni i tędzy myśliciele (bez przekąsu, natomiast z czcią należną) — zgłosili sprzeciw z energią, godną doniosłego tematu.

W brulionie pod datą 23 lipca 1944 zanotowałem:

— Czytałem dziś publicznie rozpraweczkę o C., która oczywiście nie doczeka się nigdy pożądanego

wpływu w Polsce. Jak wiadomo, nie podobna być przewidującym między swymi. Zahukają cię, zdyskwalifikują... A jednak, jeśli zdołałeś sprawić cud: wywołać wielkie poruszenie z powodu rzuconych myśli, to bądź pewny, że wszystko jest w porządku. Jedynie zupełna obojętność wróżyłaby bardzo źle niedosłemu »arcydziełu«.

Dumny więc jestem z ożywionej polemiki, jaką wywołała moja pisanina. Została ona wychwalona w superlatywach tak odurzających, że puściłem je czym prędzej w niepamięć, i jednocześnie potępiona aż do drobnych szczegółów włącznie. Co utwierdza mnie w przekonaniu, że napisałem rzecz bardzo potrzebną.

Ludzie myślą jakby wcale nie przeszli obozów, jakby nic się nie stało, jakby nie znano Niemców i jakby myśli o narodzie i jego przyszłości musiały po dawnemu rodzić się spokojnie, w stanie poronień. Broń Boże, żeby mieć odwagę myślenia w sposób nieszablonowy. Nie róbcie w Polsce rewolucji w pojęciach, choćby w sposób odpowiadający elementarnym wymogom techniki rewolucyjnej, czyli zasadom sprawnego powodowania własnym rozumem. Anglicy będą myśleli po wojnie za nas!

Nic wypada pisać o tym i owym. Razi wpleciona wzmianka o przyjaciółce ministra polskiego sprzed wrześniowej klęski, również nie godzi się zestawiać skał Cassino z podkówkami Augusta Mocnego. Nie warto wspominać o księżnie Łowickiej, ani o rywal-

kach księcia Pepi, bo to są banialuki historyczne, niedyskrekcje, które lepiej zataić, przemilczeć, bagatelizować. Obrazowo mówiąc, nie wyśmiewajmy kopii pomnika Marka Aureliusza, któremu kłaniamy się na placu Saskim w Warszawie, jako rzekomemu księciu Józefowi Poniatowskiemu, w imię uznania świętości pojęcia Honor i Ojczyzna. Nie mówić o tym publicznie, że statua nie przedstawia wcale księcia Józefa. Uważać ją ogólnie za księcia Poniatowskiego i już! Nie przyjmować do wiadomości, że fałszywy wygląd pomnika podyktował nam zaborca, car Aleksander I, który nie pozwolił postawić posągu według pierwotnego projektu Thorwaldsena — w rogatywce i mundurze polskiego ułana. Carowi nie podobał się normalny symbol polskości, więc myśmy przyjęli to co nam z łaski wyjątkowej narzucił i nie mamy odwagi myśleć po swojemu, z godnością i racjonalnie. Właściwy projekt pomnika znajduje się w muzeum w Kopenhadze, ale my nie kwapimy się do zrobienia odlewu według niego, sprowadzamy falsyfikat z wielkim poświęceniem i ubieramy go w laurowe wieńce. Wolimy oglądać nowożytnego bohatera w starożytnej todze...

Gorące zastrzeżenia wywołała rewizja epopei napoleońskiej. Ha, uśmiechy wzbudziło targanie się na spiżową postać. »Nie wolno zapominać, co zrobił dla nas dobrego, że jednak sprawę polską podniósł na szczyty«. (Do kaduka, nie myśmy ją sami podnieśli? Krów nasza to nic, tośmy tylko intruzami byli przy Bonapartem?). »Napoleon przeorał umysłowość euro-

pejską swoim kodeksem». (Ależ, czy osobiście go ułożył? Myśli zawarte w nim nie były owocem umysłowości i zapatrywań osobistych Napoleona; nie on głosił się nad kodeksem, ale ludzie, którym polecił zająć się prawodawstwem. Ktoś zająć się tym musiał przez wyłanianie się żywotnych zagadnień, nie cierpiących zwłoki. Były to myśli masy osób, rezultaty myśli zbiorowej). »Jednak myśmy w Hiszpanii dużo dobrego zrobili. Wyrugowaliśmy stamtąd absolutyzm. Zakonnicy dostali porządnie w skórę. Walczyliśmy tam o wolność umysłów, o wolność ludu hiszpańskiego, cierpiącego pod feudalnym uciskiem«. (Aha, o to chodziło! Jeno o obcą sprawę! Usiłowaliśmy doczekać się wolnej Polski na drodze walki z absolutyzmem w Hiszpanii, zapominając o obskurantyzmie u siebie. To u nas ciemnoty nie było! Wyrywaliśmy do Hiszpanii jako wszechmocni lekarze, nie lecząc własnego organizmu. Niech nam wystarcza, co mówią bezpośredni uczestnicy kampanii napoleońskiej, cytowani w oryginalnych słowach. Nie pochwalają oni swoich czynów, nie widzą w nich nic pożytecznego. Czy to jest bez znaczenia? Czy was tak ważkie świadectwa nie zastanawiają?) »Łatwo dzisiaj wszystko krytykować, przymierzać do dnia dzisiejszego, innego punktu widzenia. Wtedy sprawa polska inaczej się przedstawiała. Przy Napoleonie miała ona niewątpliwie widoki powodzenia«. (Oczywiście, o ile mierzyliśmy ją umysłowością Tadeusza Kościuszki, traktując z czysto narodowego, polskiego punktu widzenia!).

»Łatwo poddawać krytyce czyny przodków, jak to autor czyni, ale trudniej dać receptę celowych działań. Może niemądrze postępujemy w dzisiejszej dobie, przelewając krew na obcej ziemi. Tak, ale w jaki sposób działać mądrzej? jakie wskazówki na teraźniejszość da nam prelegent racjonalista? (Słuszne wymagania wobec publicystyki. Aliści »San Domingo – Cassino«, to jedynie próba sporządzenia rachunku strat i zysków, wołanie o wystawienie rachunku za polską krew; przypomnienie, by go wypełnić ze skrupulatnością i precyzją. Uświadamiam, że zapłata za mundury i ekwipunek pokrywa zaledwie koszty lichego blankietu rachunkowego. Moje rozważania nie rozwiązują kwestii, lecz prowadzą w tym kierunku i przybliżają do celu. Natomiast gloryfikacja zwycięstw bez zastrzeżeń gubi nas i wiedzie na bezdroża. Zadanie moje jest skończone z chwilą zdjęcia katarakty z naszych oczu, które nie chcą widzieć trzeźwo dłużnika. Wmawia w nas później tenże dłużnik swoje wierzytelności, a my mu jednostronnie płacimy, wieczni bankruci... Miałem odwagę postawić pytanie, czy akt bohaterstwa, który dzisiaj podziwiamy, nie był niestety niczym więcej, niż aktem r o z p a c z y? Czy sprawa polska wygląda dzisiaj tak korzystnie jak może się łudzić, czy mniemamy, pod wrażeniem wspańskiego manifestu militarnego? Pytania i obawy razem... Dowódcy dali nam po części odpowiedź: Nie spodziewajmy się od aliantów za wiele! Niezależnie od tego »objawienia«, okaże się może znowu kiedyś,

że w roku 1944 położenie Polski było także korzystne jak za Napoleona. O to więc idzie, aby przyswoić sobie należyte perspektywy już dzisiaj, jak najprędzej, nie przeceniać zgóry zysków zwycięstwa, porachować ostrożnie siły, wyzyskać dalsze atuty sprawy polskiej i stać na wysokości zadania prowadzenia gry w towarzystwie aliantów. Żołnierz zdał egzamin, czy go teraz zdadzą politycy? Ćwiczyć też będziemy dalej żołnierza! Lecz ćwiczmy i umysły polityczne, poczynając od rzetelnej znajomości dziejów kraju oraz oręża polskiego).

»Prelegent przejawia momenty drastyczne, pasjonuje się nimi...« (Przepraszam, staram się usilnie nie stracić równowagi. Wyławiam momenty najpoważniejsze, choć różnimy się co do istoty wydarzeń. Przedmówcy będą siły polsko-niemieckie w kampanii wrześniowej oceniali ze stanowiska siedmiu dni Westerplatte, ja twierdzę, że trafniejszej znajomości Niemców uczą trzy dni Kutna! Nie sieję defetyzmu, ale robię propagandę zwycięstwa na szerszą skalę. Z czego? Z czynu bojowego pod Cassino!).

»Odczytu nie podobna nazwać studium naukowym, gdyż jest za mało podbudowany aparatem badawczym. Twierdzenia autora trzeba przyjmować *a priori* lub odrzucać, innej rady nie ma. Na przykład epitety o Napoleonie, którego autor uważa za chuligana, głupca, uwodziciela«... (Zaleca się wnioszek, że wyraz »uwodziciel« należało zaopatrzyć w odsyłacz »Tak mówi profesor X«, zaś »matolkiem nazywa go Comte

de Y«. Przykład pani Walewskiej albo charakterystyka stosunku Napoleona do Kościuszki i Poniatowskiego, zapożyczone z powszechnie znanych źródeł, nie usprawiedliwiają nazywania majestatu po imieniu. Natomiast obelgi, miotane przez Napoleona na Polaków, uchodzą mu bezkarnie jak w nowszych czasach Piłsudskiemu...) »Porwał się autor z motyką na słońce. Prochu nie wymyślił, istotnego sposobu działania nie wskazał, nic nowego nie ogłosił. Cytowane obrazy historyczne są ogólnie znane. I cóż nam przyjdzie z odsłaniania nagiej prawdy o San Domingo i Saragossie? Obawiam się, że autor zabrnął w sofizmaty, jak gdyby mu chodziło o to, żeby nie działać wcale!« (Nie. Mnie chodziło po prostu o to, aby nie tworzyć mitów, sprzyjających narodzinom nowych Hitlerów. Tymi więcej nawołuję do czynów i wyjścia poza sofizmaty). »W każdym razie z uwagi na momenty wychowawcze wolę dać dziecku do czytania »Huragan«, »Panią Walewską« i »Szwolęzerów gwardii« Gąsiorowskiego, a schowam przed młodzieżą »San Domingo – Cassino« niejakiego Trepieńskiego«. (Dobrej nocy, kochane dzieci! Przyjemnych marzeń! Salutujmy posłusznie: Sprawie służ! – Służyć chcę! – Spocznij! – Niech się Polska przyśni tobie...) »Nie dałbym jako pedagog takich książek do czytania młodzieży, bo sambym znalazł się w kłopotcie, gdyby mnie pytały, gdzie prawda? Na rozczarowania jest zawsze czas. Niech dzieci rozczarowują się samodzielnie. Pod wrażeniem zbyt rychłego odkrycia różnicy między marze-

niem a prawdą życia, jeszczeby popełniły samobójstwo, wpadły w ateizm, straciły poczucie piękna«... (Nie zostałem przekonany! Najczcigodniejsi słuchacze nie dali wiary, że lektura moja uchroniłaby młodzież właśnie przed samobójstwem).

Nota bene. Dyskusja dotyczyła całości dziełka, z wyjątkiem rozdziałów o Somosierrze i Saragossie, które nie zostały odczytane. Tym ważniej referent zanotował wypowiedzi napoleonistów.

Literatura wykorzystana w niniejszej książce:

Major Filip Kierzkowski »Pamiętniki«, wyd. II, 1903;

Generał Kazimierz Małachowski »Wiadomości o wyprawie części legionów polskich na wyspę San Domingo w r. 1803«, »Czas« 1806;

Pułkownik Piotr Bazyli Wierzbicki »Wyprawa na San Domingo«, Biblioteka Warszawska 1847;

Adam Skałkowski »Polacy na San Domingo 1802 – 1809, O cześć imienia polskiego«, 1921;

Wincenty Płaczkowski, »Pamiętniki... porucznika dawnej gwardii cesarsko-francuskiej, pisane w roku 1845«, 1861;

Andrzej Niegolewski »Somosierra«, 1854;

Generał Józef Mroziński »Oblężenie i obrona Saragossy«, 1858;

Franciszek Wiktor Dmochowski »Ojciec i syn, czyli Wspomnienia z czasów przeszłych i naszych«, Pisma... byłego wachmistrza w wojsku pięciu różnych mocarstw.

dziś majstra krawieckiego w Przemyśle, wydane przez A. E. Koźmiana, 1843 ;

Kajetan Wojciechowski »Polacy w Hiszpanii«, 1907 ;

Generał Józef Załuski »Wspomnienia o pułku lek-
kokonnym polskim gwardii Napoleona I«, 1865 ;

Juliusz Falkowski »Obrazy z życia kilku ostatnich
pokoleń w Polsce«, 1882, t. II ;

Walery Przyborski, pod pseud. Zygmunt Łucjan
Sulima »Polacy w Hiszpanii«, 1808 ;

Kapitan Hugo Kerchnave »Wspomnienie o pułku
szwoleżerów gwardii Napoleona«, przekład z niemiec-
kiego, 1909 ;

Generał Puzyrewski »Szarża jazdy pod Somo-Sierra
w Hiszpanii« przekład z rosyjskiego, 1899 ;

Tadeusz Korzon »Kościuszko«, 1899.

Obfitość cytatów w książeczce tłumaczy się tym, że gdyby ich nie było, to autorowi niewątpliwie wytknięto by brak odpowiedniego materiału dla poparcia jego wywodów. Ponieważ czytelnik polski będzie się wzbraniał przyjąć je z powodu urodzonego irracjonalizmu, jest więcej niż pewne, że zarzuci teraz autorowi nadmiar cytacji. Od przybytku jednak trzeźwiejsza głowa nie boli !

Opis bitwy pod Somo-Sierra nastroczał ogromne trudności z powodu sprzecznych relacji w dość obszernej literaturze : Autor nie wahał się rozpiąć na tak

pasjonujący temat, uzgodniwszy różne szczegóły, celem uwydatnienia tych, które potwierdzone zostały jednocześnie przez kilka źródeł. Przy badaniu materiałów historycznych natknął się na nie ogłoszoną drukiem relację własnoręczną bohaterskiego dowódcy szarży szwoleżerów, *Leona Koziatulskiego* (list do J. U. Niemcewicza, bez daty, pisany przed nominacją na podpułkownika w roku 1812, jak świadczy nagłówek skreślony ręką Niemcewicza: »List kapitana Koziatulskiego (!) o bitwie w wąwozie Somo-Sierra«, Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie, Pol. O. IV 107; do datek do pamiętnika J. U. Niemcewicza):

Szarża kawalerii w opisie dowódcy szwadronu

Za przybyciem cesarza wojsko polskie wyciągnęło naprzód. Pułk nasz był zawsze w przedniej straży. Najczęściej musieliśmy się ucierać z nieprzyjacielem o miejsce gdzieśmy mieli nocować; każda z tych potyczek kosztowała nas hilku ludzi.

Stanąwszy w Aranda odebraliśmy rozkaz ciągnięcia do Saragossy, dla przecięcia ucieczki Castaniosa, dowódcy korpusu jednego Hiszpanów, który ku Madrytowi ciągnął, lecz będący przed nim marszałek Launes zbił go zupełnie. Castanica uchodził drogą ku Walencji, a my przeszliśmy przez miasto Osme, uchodząc po 10 i 12 mil na dzień, gdyśmy już tylko byli o 18 mil od Saragos, odebraliśmy rozkaz śpieszenia drogą ku Madrytowi. W trzech dniach, przy schyłku dnia, stanęliśmy przed wąwozem Somo-Sierra, w wiosce o ćwierć mili od nieprzyjaciela; ten po górach, na których się osadził, pozapalał wielkie ogniska. Po-

strześliśmy także i ognie naszego wojska, które o ćwierć mili za wioską naszą stało naprzeciw nieprzyjaciela. Ustanowiliśmy się spokojnie, a choć czaty nasze strzelały się noc całą z nieprzyjacielskimi, nie przerwało to snu naszego. Nazajutrz ze świtem przybywa cesarz, każe nam wsiadać na konie, ruszamy.

Ja prowadziłem szwadron przedniej straży. Wkrótce spotykamy nieprzyjaciela. Wysyłam naprzód strzelców. Nieprzyjaciel po kilku wystrzałach z armat, usunął się z wąwozu, gdzie stało całe wojsko jego. Mgła była niezmierna i ledwie o trzy kroki widzieć się można było. Goniliśmy nieprzyjaciela aż do wąwozu, nadeszła piechota. Uszykowałem mój szwadron przy drodze. Bój gorący być zaczął. Huk dział rozpełdził mgłę i czas stał się pogodny. Posuwamy się, cesarz przybywa, rozeznaje położenie i osobę swą nadto naraża.

Natychmiast przybywa do mnie jeden z generałów i woła: »Polacy naprzód«. Pułk nasz był za mną o wystrzał armaty, posuwam się z moim szwadronem; przybywa drugi adiutant cesarski i woła: »Letka jazda kłusem« — puszczamy się kłusem.

Biegąc koło cesarza, wykrzyknęliśmy: »Niech żyje cesarz«. On rzekł do nas: »Polonais prenez moi canons«, (»Polacy weźcie mi te armaty«).

Nieprzyjaciel strzela do nas plutonami i pojedynczo, natychmiast 16 armat, umieszczonych w wąwozie i na górach i broniących przystępu, okropny ogień wyzionęło do nas.

Cieężko jest opisać straszne położenie, w którym znajdowaliśmy się. Widziałem obok siebie padających ludzi i konie.

Pierwszy hufiec, prowadzony przez odważnego Krzyżanowskiego, zaczyna się łamać. Krzyczymy obydwa: »naprzód bracia, aby do armat«, »Vive l'empereur«, »naprzód, vive l'empereur«. Przybiegamy do

armat pierwszych, odpędzamy kanonierów, rąbiąc kogo się napotka. Drugie armaty już częścią były opuszczone przez uciekającego nieprzyjaciela, wtem czuje honia mego ranionego, druga kula trafia go w głowę, pada i nogę mi przywala. Prawie w ten moment Krzyżanowski zostaje zabity.

Było jeszcze kilkunastu ludzi przy mnie. Krzyknęli: »Szefa nam zabito, wracajmy!« Ja dobywszy się spod konia, przez cały ogień karabinowy przebiegłem cały wawóz. Spotykam cesarza, który mnie pyta: »Qu, avez vous, etes vous blessé?« — »Non, sire, mais j'ai accompli vos ordres« — wzięliśmy dwie armaty.

Uciekają Hiszpanie od drugich, lecz koń mój zabity i większą część ludzi moich straciłem, przymuszony byłem powracać. Cesarz odpowiedział: »Allons c'est bon«, to dobrze. Pobiegłem szukać drugiego konia.

Kapitan Dziewanowski nie traci czasu, zbiera przed wawozem resztę ludzi, uderza napowrót i resztę armat odbiera.

Piechota hiszpańska, która stała na prawej stronie wzdłuż wawozu, zaczyna się łamać i pierzcha w nieporządku.

Pułkownik mój, widząc mnie pieszo, szukającego konia, posyła szefa Łubieńskiego z dwoma plutonami na wsparcie Dziewanowskiego, ten przebiegłszy cały wawóz rozpuszcza swoich en tirailleurs i mężnie za pierzchającymi ściga.

Pomimo wielkiej zapalczywości przedzierającego się przez ciała współbraci żołnierza, zabrał Łubieński niemało niewolnika różnej rangi i wziął sztandary. Reszta pułku pędziła nieprzyjaciela o mil trzy aż do nocy.

Nazajutrz stanęliśmy o milę od Madrytu i równo ze dniem z generałem Le Brun poszliśmy naprzód

i o pół mili od miasta spędziliśmy zbieraną jazdę hiszpańską, która się w bramach miasta oparła.

We trzy dni potem miasto się poddało. Strata nasza wynosiła 60 zabitych, 28 rannych, 4 oficerów zabitych: Krzyżanowski, Rudowski, Rowicki; porucz. Dziewanowski nogę kulą armatnią miał urwaną i dwoma karabinowymi zgruchotane ramię, operację wytrzymał, ale wkrótce skończył. Krasiński dostał kontuzję, Niegolewski kilka ran. Reszta wszyscy zdrowi, również i ja, gdyż kontuzja moja w nogę była bardzo lekka.

Od trzech dni odpoczywamy, gotując się do dalszych marszów i satyg. To co mi najbardziej ośladza wszystkie trudy, oddalenie od Ojczyzny i familii, jest ten dzień, w którym w przytomności Napoleona okazaliśmy się godnymi imienia polskiego.

(mp) Koziodulski

Napoleoniana. Przyczynek do sylwetki Napoleona: puls jego bił 56–60 razy na minutę, w wypadkach wyjątkowej irytacji i zniecierpliwienia dosięgł 70 uderzeń (u normalnego człowieka ilość uderzeń pulsu wynosi średnio 73 na minutę). Organicznej anomalii odpowiadała sfera uczuć, chłodnych na ogół jak krew.

Polacy zachowali dla Napoleona wierność po grób, jakkolwiek — według słów Niegolewskiego —

»nie odpowiedział zaufaniu przez Polaków pokładanemu«. — »Niestety! uwielbiany od nas bohater nie pojął potęgi orła białego i ani 1809 ani 1812 r.,

nie wyswobodził ich ojczyzny, a tym samym nie pozwolił się unosić nad ziemią polską swobodnie orłowi polskiemu, który by go z pewnością swą potęgą był w nieszczęściu ratował i nie dopuścił, aby władca ten świata później, jak gdyby za karę, ledwie na skałach znalazł schronienie, gdzieby mógł o swym orle cesarskim jak my teraz o naszym tylko rozpamiętywać i wspomnieniami jego żyć».

Dopiero jako wygnaniec uznał pod koniec życia niesprawiedliwe traktowanie sprzymierzeńca i niezdecydowaną politykę wobec Polski za jeden z kardynalnych błędów, ubolewając, że nie wykorzystał atutów sprawy polskiej w budowie struktury politycznej kontynentu (*«Dicteés de S-te Helene»*, pamiątniki nie tłumaczone w całości na język polski). Jak powiada gen. Załuski:

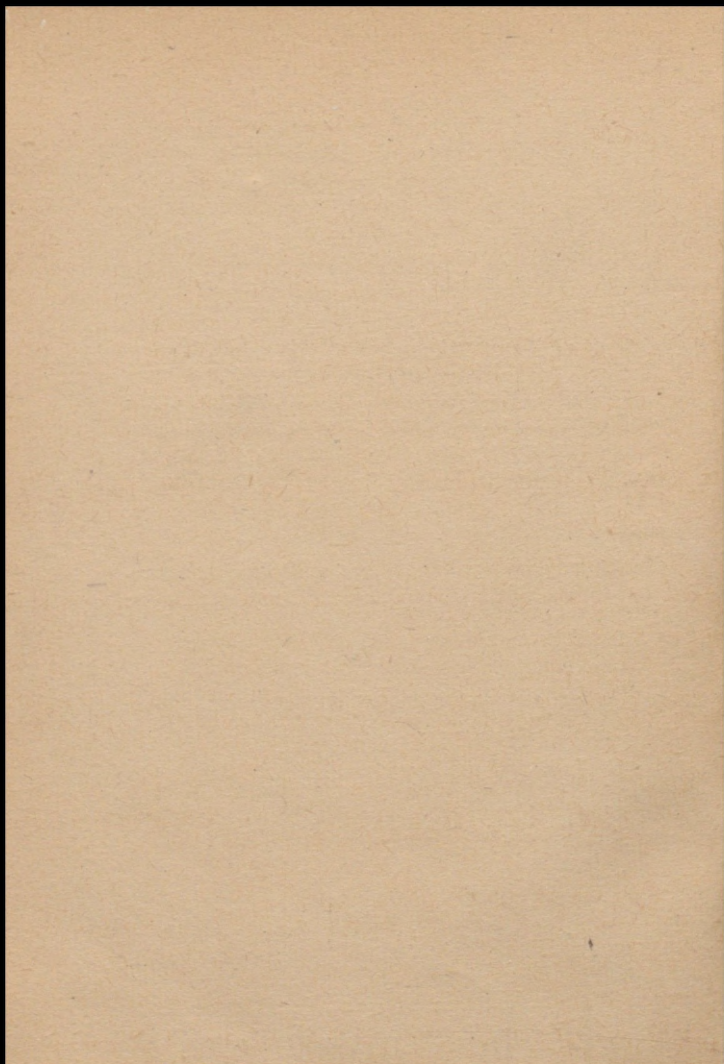
»Po wielkiej części sam Napoleon był winien upadkowi swemu, i sam to uznał na wyspie św. Heleny, że nie użył należycie wojska polskiego«.

Brzeg przepaści niejednego mocarza zaczął się od roli grabarza Polski. Nie damy tego miana Napoleonowi tylko dlatego, że brzmiałoby to zbyt paradoksalnie. Trudno mieć pretensje do geniusza, który dobrymi chęciami piekło brukował i sam się w nim w końcu upiekl...

Do uznania błędu przez Napoleona przyczynił się spóźniony proces psychologiczny. Polacy ujęli serce zdetronizowanego cesarza zdecydowanie wówczas kie-

nasz poeta urodził się z rodziny szlacheckiej, w wigilię Bożego Narodzenia, w nowogródzkiej stronie, ale i to, że umarł w strasznych warunkach. Chciałybyśmy poznać całego Mickiewicza i sądzimy, że zarazą krzywdy mu już nie zrobi, geniusza nie pomniejszą, poznanie poety nie wypaczy»... »Ta cholera jest nieważna«... »Jednak my chcemy znać fakty... Jaki! śmierć wieszczą nie jest ważna?« Rozpętała się burza protestów. »Cicho, sza! grzeczniej! nie krzyczeć!« — nauczycielka usiłowała nas przywołać do porządku głosem gromkim, nie znoszącym sprzeciwu. Myśmy to uznały między sobą za gwałtowne i fałszywe gaszenie prawdziwego kultu Adama Mickiewicza.

Erratum. Na stronie 9. wiersz 10 od góry, wydrukowano: bitwą pod Lipskiem 1815 r., winno być: 1813 r.



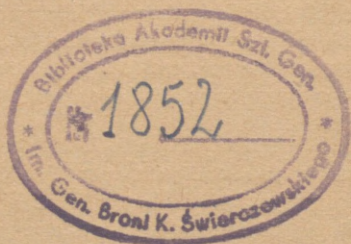
M O N T E C A S S I N O

*Turyści przyjechali zwiedzać Somo-Sierra,
Pytają, czy nie można kupić polskich gości,
I szybko obejrzawszy, chcą nowej wzniosłości
I nowego oglądać jadą bohatera.*

*Jeszcze widzą jak czako płynie z prądem rzeki
I słyszą okrzyk »Honor« stłumiony przez fale,
Więc, stanawszy na brzegu, wołają: Wspaniale!
Jakże zginął wspaniale! »Pokój mu na wieki!«*

*I teraz do Włoch jadą. Zakupili kwiaty,
Chcąc na groby je rzucić poetyczną dłonią,
Lecz nocą pękły groby i Polacy z bronią
Ruszyli, aby żądać za swoją krew zapłaty.*

Jan Lechoń »Aria z kurantem«,
Nowy Jork 1945.



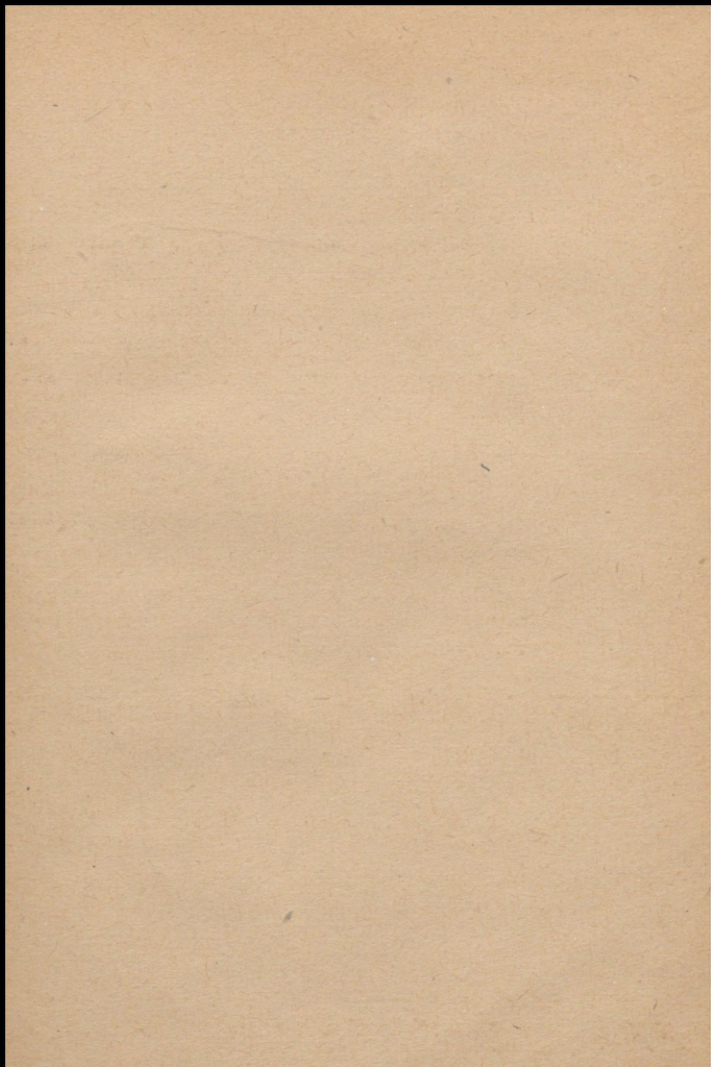
S P I S T R E Ś C I

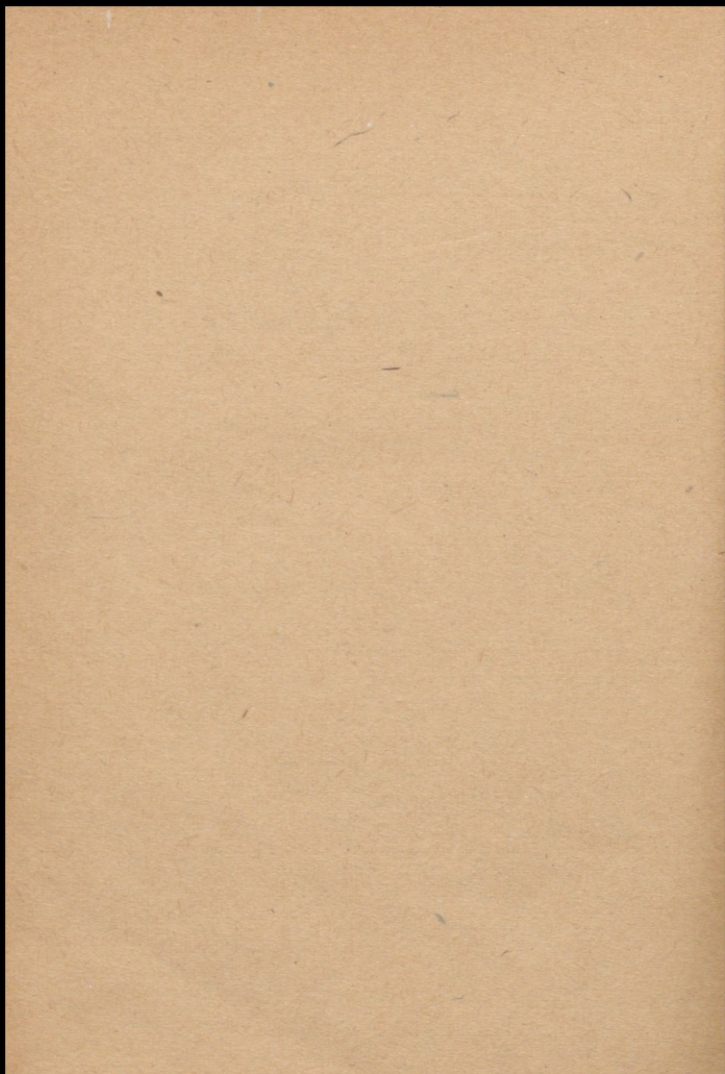
Krew i sława (Słowo wstępne z okazji zwycięstwa Polaków)	7
Cassino przypomina San Domingo	11
Wspomnienie Somo-Sierry	33
Rana Saragossy	87
Medytacje historyczne (Jeszcze przypomnienia)	107
Drogowskaz w Ankonie	123
Dopełnienia:	
Straty w bitwie o Cassino	147
Wykaz źródeł (walki napoleońskie na San Domingo i w Hiszpanii, Kościuszko, Poniatowski)	156
Relacja Leona Kozietulskiego o szarży szwoleżerów pod Somo-Sierra	158
Napoleon — Hitler	164
Wiersz Jana Lechonia »Monte Cassino«	167

S P I S R Y C I N

- 1) Widok wzgórza Monte Cassino, z książki: Kurt Hielscher »Italien«, 1925,
- 2) Na San Domingo, mal. *Janury Suchodolski* (1795–1875),
- 3) Somo-Sierra, mal. *Piotr Michałowski* (1801–1855),
- 4) Oblężenie Saragossy, mal. *January Suchodolski*,
- 5) Wizja Napoleona, mal. *Wojciech Kossak* (1857–1942).

Okladkę, inicjały i zakończenia rozdziałów rysował
Zygmunt Lorec.





Tegoż autora
W D R U K U

Encyklopedia wiedzy
polskiej o Niemcach

POTĘPIENCY

SĄD WIEKÓW

NAD NIEMCAMI

A N T O L O G I A

720 stron — 28 ilustracji



Nakładem Księgarni Ludowej
(T. Lemański)
Ł Ó D Ź, ul. Piotrkowska 17.

BIBLIOTEKA

ASG

NAUKOWA

809